

VarArt

pismo kulturalno-literackie
NR 01/2021 (50)

WOJEWÓDZKA BIBLIOTEKA
PUBLICZNA w OLSZTYNIE

www.wbp.olsztyn.pl



STANISŁAW CZACHOROWSKI

Życie to nieustający debiut

Życie biologiczne nie mieści się w prostych schematach, a jednocześnie nieustannie inspiruje. Jest jak wkładanie kija w mrowisko — nigdy nie wiadomo, co z tego wyniknie: cisza czy atak w obronie gniazda.

Znacie tę starą zagadkę? Ile jajek można zjeść na czczo? W zasadzie tylko jedno, bo pozostałe już nie są na czczo. Tak jest i z życiem biologicznym. Istnieje na Ziemi coś około 3-4 miliardów lat. Było to tak dawno, że nie zostało śladów początku. Tylko domyślamy się, kiedy mniej więcej był ten panświatowy debiut. Prapraprapremiera wszechczasów. I nie do końca wiemy, czy nie był to czasem jakiś plagiat. To znaczy, czy życie biologiczne nie zostało na Ziemię przyniesione na meteorach albo kometach. Wysyłały sondy, łaziki, niebawem sami polecimy na Marsa w poszukiwaniu życia. A może było tam już wcześniej? Może życie biologiczne nie jest wszechgalaktycznym unikatem, niepowtarzalnym dziełem kosmicznej sztuki i nie tylko na Ziemi powstało i istnieje. Może lęgnie się na każdej, dogodnej planecie?

Mniejsza o kosmiczną unikalność i niepowtarzalność życia. Bez wątpienia pojawiło się na Ziemi. I to możemy uznać za debiut, bo wcześniej z pewnością go tu nie było. Dziwne jest dopiero to, że życie jest nieustannym początkiem. Każde narodziny to swoisty niepowtarzalny debiut i nowe możliwości. A jeśli nie każde, to większość. Tryliony debiutów przez blisko 4 miliardy lat. Jakże to możliwe? Ileż jajek można zjeść na czczo? Setki? Tysiące? Tak, biologia nieustannie odkrywa paradoksy. Życie jest bardziej złożone niż byśmy chcieli.

Dlaczego tyle debiutów i po co one? Niedawno w mediach społecznościowych natknąłem się na wielce zastanawiający mem. List z błędami ortograficznymi stylizowany na pismo małej dziewczynki. Coś w stylu głupich, dziecięcych pytań. Przytoczę w luźnym tłumaczeniu: „Panie Boże, jak tak chcesz sobie skompletować ludzi (świętych) do raju (albo żyjących na Ziemi), to po co ludzie umierają. Przecież musisz nieustannie dorabiać nowych. Zrób komplet i już będzie bez zmian”.

List ten był pięknie napisany, w stylu dziecięcej nieporadności językowej. A jednocześnie z bardzo przemawiającą głębią. Dlatego nie wiem, czy jest to autentyczny list dziecka, czy tylko ubrany w takie szaty. Dziecięca niezręczność może rozbawić. I nic więcej. Ale niepostrzeżenie może kryć w sobie głębszy sens. Może Pan Bóg też chce nieustannych debiutów?

Sprawcą nieustannych debiutów jest ewolucja. Nic stałego, ciągła zmiana, ciągle nowa sztuka na scenie i nowe dekoracje. Powstanie kolejnego gatunku to debiut. Co prawda korzystający z olbrzymiego dorobku przeszłych pokoleń, ale jednak debiut. Trochę plagiat, trochę patchwork, trochę analogia do innych już istniejących, ale jednak zawsze coś nowego. Debiut, nowy pomysł wymagający sprawdzenia. A u gatunków rozmnażających się drogą płciową (ot, na przykład człowiek, Homo sapiens) każde narodziny to biologiczny, niepowtarzalny debiut. Rekombinacja genetyczna — trochę od mamy, trochę od taty, wszystko mocno wymieszane. Do tego

jeszcze wpływ środowiska modyfikujący predyspozycje genetyczne. Nawet jeśli liczba ludzi w dłuższym okresie nie ulega zmianie, to za sprawą narodzin i tak pojawiają się niepowtarzalne debiuty. Jedne gasną szybko, inne dłużej utrzymują się na teatralnych deskach. Jedne w cieniu, inne w sławie i z licznymi naśladowcami. A jak to jest u gatunków bez rozmnażania płciowego, gdzie tylko partenogeneza lub zwykły podział komórkowy? W języku biologicznym powiedzielibyśmy — klonowanie. Ale nawet u bakterii, przez wędrujące fragmenty DNA, np. plazmidy, także następuje różnicowanie genetyczne. Poza tym są jeszcze mutacje. Tak więc debiutowanie przez 3,7 miliarda lat. Albo i dłużej.

Drogi Czytelniku — jesteś niepowtarzalnym debiutantem. Do zróżnicowania genetycznego trzeba przecież dodać naszą unikalność psychiczną. Niepowtarzalne doświadczenie zgromadzone w pamięci. Przecież nie czytamy tych samych książek, nie przeżywamy tych samych miłości, smutków i radości. Każdy osobno i niepowtarzalnie.

Ile ludzi zmieści się na Ziemi? A ile diabłów na łebku od szpilki? Ograniczona liczba. Ale dzięki nieustającym debiutom i wymianie pokoleń ciągle pojawiają się na tej samej scenie nowi aktorzy i grane są nowe sztuki. Gdyby nie takie właśnie debiuty, to do każdej nowej sztuki musielibyśmy budować nowy teatr. A do każdej zakupionej książki budować nowa bibliotekę.



Rys. Karolina Lewandowska

W NUMERZE 01/2021:

02 KIJ W MROWISKO

STANISŁAW CZACHOROWSKI: Życie to nieustający debiut

04 WYWIAD

Z KRYSZTOFEM TRZASKOWSKIM I KATARZYNĄ GÓRĄ ROZMAWIA MONIKA STĘPIEN: Debiuty — Biblioteka Miasta Opowieści MOK

07 FELIETON

MONIKA STĘPIEN: Debiut — szybka szkoła wychodzenia z bańki mentalnej

09 DEBIUT

MARTA PIETRASZUN, PIOTR JODKO

10 POEZJA

KONKURS LITERACKI O TRZCINĘ KORTOWA 2020

12 PROZA

WACŁAW SOBASZEK: Spiski życiowe. Dziennik węgajcki

14 DEBIUT

MARTA ANTOS, ILONA MŁODZIŃSKA

15 W SAMYM ŚRODKU — GALERIA VARIARTA

MAJA DZIECIĄTEK: Wystawa 3X50

16 GALERIA

MIĘDZYNARODOWY PRZEGLĄD SZTUKI NOWOCZESNEJ 3X50

18 DEBIUT

MARIA ZIELONKA: Szklany dom

20 KRÓTKA FORMA

ANNA RAU I IWONA BOLIŃSKA-WALENDZIK: Olsztyński łapacz snów

21 KULTURA

PIOTR SZAUER: Pierwszy akord w Olsztynie
EMILIA KONWERSKA: Debiut nie istnieje

22 SZTUKA

ALEKSANDER KUBERSKI: Pierwszy rzut

24 RECENZJA

MARTA WIŚNIEWSKA: O Warmii i Mazurach głos z zewnątrz

25 REPORTAŻ

WŁODZIMIERZ NOWAK: Szkoła opowieści, czyli osiem dowodów na reportaż

26 MUZYKA

MATEUSZ ŚWIĄTECKI: FEST MUZA, czyli o poławianiu pereł

27 RECENZJA

KATARZYNA GUZEWICZ: Łęki czterdziestolatków

28 INICJATYWA

EWA SCHILLING: Misja Kamikadze

29 TEATR

WIESŁAWA NIEMASZEK-SZYMAŃSKA:
O wiecznym debiucie i zasłuchanej ciszy aktorki

31 TEATR

MARTA MARKOWICZ: O debiucie podwójnym

31 NA KOŃCU

KAROLINA LEWANDOWSKA: Coś kręce?...


Debiut — twórczość ujawniona... Czasami wychodzi mimochodem, czasami ktoś nas zauważy, czasami to efekt ciężkiej pracy i pasji — wychodzimy więc z szuflad...

W bieżącym numerze „VariArt” sporo debiutów literackich, m.in. Marty Pietraszun, Marty Antos, Piotra Jodko, Marii Zielonki. Dużo też o pierwszych razach, bo przecież debiut występuje w każdej dziedzinie życia i potrafi być pewnego rodzaju stałą, jak podkreśla Stanisław Czachorowski. O tym, jak się debiutuje w teatrze, mówi Wiesława Niemaszek-Szymańska oraz Marta Markowicz, o inicjatywie wydawniczej Ewa Schilling, o połowie muzycznych pereł opowiada Mateusz Świątecki, o rozkręcającej się szkole reportażu Włodzimierz Nowak. Całkiem niedawno powstała w Olsztynie nowa galeria, której olbrzymią zaletą jest przeszkłone wnętrze (do którego można zajrzeć wprost z ulicy) oraz możliwość pokazywania się w niej debiutujących artystów, których droga, jeszcze nie do końca ukształtowana, właśnie tutaj może się zacząć — o galerii mówi jej protoplasta Aleksander Kuberski, dyrektor Liceum Sztuk Plastycznych w Olsztynie.

Pismo „VariArt” nie debiutuje, chociaż... za każdym razem mamy wrażenie, że robimy coś nowego. Właśnie wydajemy pięćdziesiąty numer — kto by dwanaście lat temu spodziewał się, że doczekamy takiego jubileuszu. Z okazji naszej pięćdziesiątki w galerii przedstawiamy prace z wystawy ph. „3x50”, która prezentowana jest m. in. we Fromborku. I takiego właśnie numeru sobie i Państwu życzymy...

Redakcja „Pięćdziesiątki”



VariArt. Pismo kulturalno-literackie. ISSN 2080-1483

Nr 01/2021 (50)

Wydawca:

Wojewódzka Biblioteka Publiczna w Olsztynie

10-117 Olsztyn, ul. 1 Maja 5; tel. 89 524 90 32; e-mail: wbp@wbp.olsztyn.pl

Współwydawca:

Warmińsko-Mazurskie Stowarzyszenie ARESZT SZTUKI

www.aresztsztuki.wixsite.com/olsztyntart; e-mail: aresztsztuki@gmail.com

Zespół redakcyjny:

Iwona Bolińska-Walendzik, Joanna Cieślińska, Karolina Lewandowska,

Urszula Maciąg, Anna Rau, Anita Romulewicz, Monika Stępień

e-mail: variart@wbp.olsztyn.pl

Okładka przód: Karolina Lewandowska, skład: Karolina Lewandowska

Okładka tył: Tomek Ratajczak Flyingfish Letterpress

Druk: „Gutgraf” Zakład Poligraficzny Marian Świniarski Olsztyn

Zrealizowano przy współudziale finansowym

Samorządu Województwa Warmińsko-Mazurskiego

Z KRYSZTIANEM TRZASKOWSKIM I KATARZYNĄ GÓRĄ rozmawia MONIKA STĘPIEŃ

Debiutanci

Pisanie poezji to handel prywatnością czy odwaga cywilna? Czy w dzisiejszym świecie chodzi o coś więcej niż przyzwoite schabowe? Kim są „starzy wyjadacze”? Po co używać słów, których większość nie rozumie? Z tegorocznymi debiutantami poetyckimi: **Krystianem Trzaskowskim** (*Powidoki psiej pogody*) i **Katarzyną Górą** (*Montażownia*) rozmawiała Monika Stępień.

MONIKA STĘPIEŃ: Porozmawiajmy o czasie przed debiutem – jak wyglądało Wasze życie literackie? Czy spotkanie z poezją było przypadkowe, czy to długofalowa potrzeba, która w was kielkowała?

KRYSZTIAN TRZASKOWSKI: To był przypadek, który z czasem przerodził się w potrzebę. Byłem wtedy w LO 3 na Zatorzu. Nauczycielka od polskiego, pani Krystyna Ślubowska, zaproponowała mi udział w konkursie poetyckim. Mniej więcej w tym samym okresie dostałem podobną propozycję od pani Beaty Śliz, bibliotekarki. Skorzystałem z obydwu. Na jeden i drugi konkurs napisałem własny tekst i wtedy byłem z nich strasznie dumny. Teraz przed debiutem odczuwam podobną dumę.

KATARZYNA GÓRA: Spotkanie z poezją w żadnym wypadku nie było przypadkowe. Już w SP 30 w Olsztynie byłem członkinią koła recytatorskiego, które prowadziła pani Hania Brakoniecka. W szkole Średniej pojawiły się pierwsze próby poetyckie, np. szkoła, do której uczęszczałam w Stanach Zjednoczonych, Dover High School, publikowała twórczość swoich uczniów w magazynie literackim – znalazł się tam i mój wiersz. Myślę, że rola szkoły w uwrażliwianiu na piękno i sztukę oraz stwarzaniu uczniom możliwości do „pokazania się” jest bardzo istotna. Oczywiście tamto tworzenie było jedynie chaotycznie porzrzuconymi ziarnami, a potrzeba poezji, czy raczej odwaga do podzielenia się aktem kreacji ze światem zewnętrznym, kielkowała dosyć długo.

Jaki stereotyp, krążący wokół tworzących poezję (tych na początku drogi i tych z kilkoma publikacjami) lub sztukę, budzi w Was największą niezgodę?

K.T.: Stereotypy mnie nie interesują. Do kilku się na pewno zaliczam. Jeżeli miałbym na coś postawić, to byłoby to przekonanie o tym, że w życiu chodzi o coś więcej niż mieszkanie, samochód, dobrą pracę i przyzwoite schabowe.

K.G.: Nie interesują mnie stereotypy. Jeśli jednak miałabym się odnieść do typowych poetki czy poety, cokolwiek to znaczy, to z jednej strony powszechnie wydaje się, że są to osoby trochę efemeryczne, nawiedzone, zalane w swojej romantyczności i cierpieniu, czasem nieżyłowe. Z drugiej strony, tej pragmatycznej i rynkowej, są to publikowani „sędziwi mędracy”, mężczyźni, którzy dzielą się z nami swoją „mądrością”.

Jakie dylematy pojawiają się przy pracy nad tomikiem? Co Was zaskoczyło, co przerażało, a co dawało największą radość?

K.T.: Tych dylematów jest mnóstwo. Trzeba się zmierzyć z samym sobą, spojrzeć na swoje teksty sprzed kilku tygodni, miesięcy czy nawet lat i na chłodno ocenić, co w nich zagrało, a co nie. Jest to też swojego rodzaju podróż w głąb siebie, co na ogół nie jest najłatwiejszym zadaniem. Natomiast moment, w którym trzymałem w rękach wydrukowany egzemplarz, był jednym z najlepszych w moim życiu. To był ten moment, w którym zdałem sobie sprawę, że jedno z moich marzeń się spełniło. Polecam każdemu.

K.G.: Nie towarzyszyły mi żadne duże dylematy. Tworzę z przyjemnością od lat, zaufałam i oddałam się w ręce redaktorki, która pomogła wybrać wiersze i stworzyć spójny tomik. Bez tego spojrzenia z zewnątrz ciężko byłoby samej podjąć decyzję, które wiersze powinny się na pewno ukazać w tomiku. Cały proces był bardzo ekscytujący i przynosił wiele radości. Jednak skoro padło pytanie o przerażenie, to może było nim uświadomienie sobie, że przestrzeń, która pomimo formy była jednak konceptualna, zostanie zmaterializowana w formie publikacji. Wyzwanie stanowiła jeszcze praca pod presją czasu i wybranie odpowiedniej okładki. W ostatniej chwili napisałam do niezwykłej ilustratorki i malarki Jolanty Niedzieli-Chudzik z prośbą, czy nie mogłabym użyć jej ciekawych prac do okładki swojego tomiku. Wysłałam jej kilka moich wierszy i Jola podzieliła się ze mną tym, że dzień czy dwa przed moją wiadomością namalowała obraz, który jakby naturalnie rezonował z moim tomikiem i tym samym stał się jego częścią.

Jak doszło do zmaterializowania się tomików?

K.T.: Geneza sięga jeszcze czasów liceum, bo odkąd zacząłem pisać, wiedziałem, że tomik poezji będzie moim celem. Ciężko to streścić, ale jeśli chodzi o finalny etap całego procesu, to jedno jest pewne – przyczyniło się do tego mnóstwo osób, a wszystko się zaczęło od Ciebie, Moniko. Nie pamiętam, ile razy rozmawialiśmy o moim tomiku, ale tych rozmów było sporo i któregoś dnia przyszła ta decydująca. Współpraca z Miejskim Ośrodkiem Kultury przebiegała bardzo profesjonalnie. Edycja tekstów w wykonaniu Justyny Artym to kolejna rzecz, która będzie mi się pozytywnie kojarzyć. Wam wszystkim jestem wdzięczny.

K.G.: I tutaj właśnie należy wspomnieć kolejną wspaniałą kobietę, menadżerkę kultury znającą rynek wydawniczy i arkana dotyczące debiutów – Monikę Stępień, którą miałam przyjemność poznać na spotkaniu „Półkowniczek”, twórczej grupy kobiet z Olsztyna i okolic. Gdyby nie jej osoba i decyzja Miejskiego Ośrodka Kultury

w Olsztynie, który zgodził się zainwestować fundusze, aby moje utwory ujrzały światło dzienne, szanse na publikację i dzisiejszy wywiad byłyby nikłe.

Dziękuję Wam za te drogie mi słowa. Wasze debiuty są zupełnie odmienne – zarówno w tematyce, jak i formie. Dostrzegam u Ciebie, Krystianie, w *Powidokach psiej pogody* spryt, cynizm, popkulturę, a u Katarzyny w *Montażowni* pracę na języku, poszukiwanie i kreowanie tożsamości, opowiadanie nowej kobiecości. Jednak oboje spotykacie się na płaszczyźnie refleksji i w próbach osławiania rzeczywistości – poezja jest najlepszą odpowiedzią czy możliwością zadania właściwych pytań?

K.T.: Tak szczerze, to kompletnie nie mam pojęcia. Poezja jest płaszczyzną na tyle szeroką, że łatwo jest znaleźć wolny kawałek dla siebie i tworzyć. Co tylko przyjdzie do głowy. Bo to chyba o to w tym wszystkim chodzi? Żeby cały czas szukać, dekonstruować i bawić się tym wszystkim. Czasami poezja jest najlepszą odpowiedzią, a czasami źródłem niekończących się pytań, czy przyczyną niewyobrażalnego bólu. Możliwość zadania pytania jest zawsze, tak samo, jak możliwość uzewnętrznienia się. Poezja daje tylko pole do popisu.

K.G.: Poezja jest jednym i drugim. Moja jest próbą odpowiedzi na otaczający mnie świat, zarówno jego wspańiałość, zachwyt nad możliwościami, jak i brzydotę, i niesprawiedliwość. Niezaprzeczalnym jest również, że poezja jest i powinna być płaszczyzną stawiania pytań, tych trywialnych i złożonych, ponieważ nigdy nie wiemy, co akurat uaktywni się u poszczególnego odbiorcy. Myślę, że funkcja moich utworów jest zróżnicowana, w zależności od tego, co stanowi myśl przewodnią utworu: jest nią potrzeba przyjrzenia się sprawiedliwości, fanatyzmowi, poznaniu, próba dotknięcia pamięci i życia konkretnych osób, jak również spotkanie się z emocjami bólu i żalu.

Czy pisząc, myślicie o *idealnym czytelniku*, czy traktujecie wiersz jako komunikat wolno puszczony w świat?

K.T.: Kiedyś zdarzało mi się i te teksty na ogół osiągały swój cel – podobały się konkretnym osobom. Na szczęście oduczyłem się tego. Uważam, że najlepiej pisze się, gdy nie ma ograniczeń. Wiersze mają to do siebie, że same wiedzą, kiedy się zacząć, kiedy huknąć, a kiedy skończyć. Lubię dać się porwać inspiracji i zobaczyć, gdzie mnie zaprowadzi. To tak w uproszczeniu, bo pomiędzy tymi wszystkimi pięknymi słowami jest mnóstwo pracy.

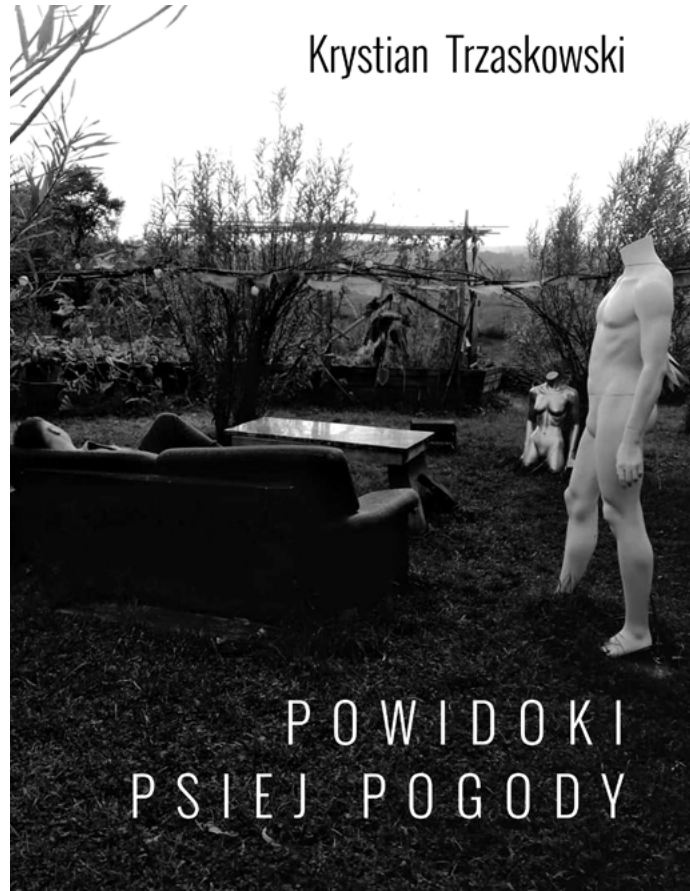
K.G.: Bardzo trudne pytanie. Powiem szczerze, że gdzieś w głębi marzy się o tym *idealnym czytelniku*. Tylko z drugiej strony, kiedy zadamy sobie pytanie o ów ideał, uświadamiamy sobie, że taki nie istnieje. Bo nawet gdy piszę np. wiersz *Znaczenie*, który traktuje nie tyle o samym języku, ile o nauce o nim i poznaniu, w którym próbuję uporządkować sobie różne podejścia filozoficzno-językoznawcze, które definiują czy badają znaczenie, to czy automatycznie predysponuje to tylko językoznawców do odkodowania jego treści? Ponadto bliskie pojęciowo są mi również teksty systemu

filozoficznego wiary baha’i, które gdzieś zawsze przewijają się w mojej twórczości, jak np. wiersz *Organiczny Cykl* czy *Kitab-i-Iqan*. Tak więc puszczam wolno moją poezję w świat. Niech dotyka, fascynuje, przeraża, podważa i wzrusza.

Tworzeniu sprzyja mityczna wena czy raczej sumienna praca?

K.T.: Mityczna wena... podoba mi się to! Bo faktycznie wena nie istnieje. U mnie tworzenie jest raczej spontaniczne i czasami potrzebna jest jakaś iskra. Najczęściej jest nią muzyka, ta od zawsze miała na mnie duży wpływ. Negatywne emocje też potrafią nieźle pobudzić kreatywność. Jednak jakie te emocje by nie były, to bez pracy znaczą niewiele. Najlepiej zacząć od czytania innych poetów, w jak największych ilościach. Szkoda, że ja zrozumiałem to tak późno [śmiech].

K.G.: I znowu odpowiem, że obydwa te fenomeny. Ja mam ten luksus, że nie utrzymuję się z poezji, więc nie zasiadam codziennie w wyznaczonych godzinach w mej montażowni i nie produkuję. Moją montażownię stanowi otaczająca mnie rzeczywistość i wysycone nią treści, które w pewnych momentach uaktywniają swoją potrzebę wejścia do pracowni i kreacji. Jednocześnie, jak piszę w wierszu tytułowym, trzeba czasem mieć odwagę porzucenia montażowni, wzniesienia się ponad formę i otaczające konwencje,



a wtedy jest szansa, że ukaże się ta mityczna wena, czyli dotknięcie w sobie żywej, dynamicznej emocji. Jeśli połączy się to z warsztatem, to jest szansa, że ta prawda dotknie i poruszy również innych.

Czy w świecie kapitalizmu nastawionego na tempo i zysk poezja to handel prywatnością czy odwaga cywilna?

K.T.: W świecie kapitalizmu poezja to raczej fanaberia albo pasja dla hermetycznego grona, choć paradoksalnie każdy coś pisze (lub pisał). Myślę, że w pisaniu jest i handel prywatnością i odwaga cywilna. Pokazujemy światu swoje obawy, wizje i lęki. Czasami ten świat to grono najbliższych przyjaciół, rodzina i szuflada, a czasami to grupy ludzi w różnych miastach. W jednym i drugim przypadku wystawiamy się na ostrzał, pośmiewisko, a nawet i podziw. Tak jak mówiłem na początku, każdy coś pisze lub pisał i na pewno wie, jakie uczucia temu towarzyszą, zwłaszcza w obecnych czasach.

K.G.: Słyszałam kiedyś ocenę mojej poezji, że nie są to żale nastolatki o złamanym sercu tylko prospołeczne manifesty. Ok, dziękuję, lecz to szczerość i prawda, które są teraz w deficycie, powinni towarzyszyć wszystkim twórcom i nie tylko. Handel prywatnością też wymaga odwagi. Wychodzi na to, że trzeba jeszcze czegoś.

Jak środowisko może wspierać debiutantów?

K.T.: A wiesz, że się nad tym nie zastanawiałem? Na pewno opinie bywają pomocne. Te od doświadczonych poetów, jak i te od odbiorców. Zwłaszcza jeśli to konstruktywna krytyka, wtedy im więcej, tym lepiej. Mogą też kupować tomiki, wiadomo. Myślę, że co osoba, to pomysł. Ja na pewno nie mogę narzekać na brak wsparcia i też ciężko mi znaleźć inne przykłady.

K.G.: Zacznijmy od tego, dlaczego warto wspierać debiutantów. Po pierwsze, posłużę się kliszą, ale każdy, a tym bardziej na początku drogi, potrzebuje wsparcia. I to właśnie „starzy wyjadacze” powinni się temu przyjrzeć. Jak byłoby pięknie, gdyby mistrz poczuł wewnętrzną odpowiedzialność i szkolił, stwarzał warunki do rozwoju, wystawiał na próby, organizował sposobności systemowe i tłumaczył arkana finansowe uczniowi. Kolektywna odpowiedzialność za obopólny rozwój siebie nawzajem!

Najtrudniejsza lekcja, którą musi odrobić debiutujący to...

K.T.: U mnie to było mnóstwo lekcji pokory i pewnie jeszcze kilka przede mną. Cały czas odczuwam ten sam głód, co na początku, ale dzięki pewnej osobie staram się zachowywać trochę bardziej taktownie. Inni debiutujący pewnie też mieli swoje lekcje do odrobienia. Najgorsze w tym wszystkim jest chyba to, że tych lekcji przybywa każdego dnia. Lekcje języka czy biblioteczne są normą. Nie wystarczy używać górnołotnych słów, by nazywać się poetą. Nie wystarczy też to, co czytaliśmy w szkole na lekcjach polskiego. Poezja jest żywa.

K.G.: Może niektórych to zdziwi, ale pochodząc ze środowiska akademickiego i będąc przez większość czasu na jego dolnym szczeblu, nieustannie na świeczniku, wiecznie

pod pretekstem krytycyzmu (nie mylić z konstruktywną krytyką), jednocześnie chyląc czoła przed wiedzą i poznaniem, które jest procesem, a nie punktem na linearnym porządku życia – pokorę, a w szczególności pokorę wobec wiedzy, wpisaną mam w DNA.

Co wpływa na to, jak tworzycie?

K.T.: Wszystko się zaczyna od pomysłu, potem rozchodzi się w swoje strony. Największy wpływ mają jednak muzycy, bo to właśnie podczas słuchania najlepiej mi się pisze. Pomysły wpadają wszędzie – w autobusie, w drodze do pracy, w sklepie, w barze, u dentysty. Potem jedynie potrzeba czasu i skupienia. Wszystko może być użyte jako inspiracja, czasami po prostu ciężko znaleźć odpowiednie słowa, ale przy odrobinie wysiłku i te się w końcu znajdują.

K.G.: Sztuka jest darem, lecz często nie umiemy jej przyjmować, nie nauczono nas tego, tyczy się to zarówno odbiorców, jak i twórców. Stosunkowo późno nauczyłam się czerpać z tego, co jest wokół mnie i we mnie, aby tworzyć poezję. Z racji tego, że przez ostatnie lata pisałam doktorat z językoznawstwa, część wierszy naturalnie wypływa z tego strumienia myśli. Powinnam również wspomnieć o ludziach czy sylwetkach postaci, często kobiecych, które tak gdzieś zainspirowały mnie, zakotwiczyły się w moim umyśle, że postanowiłam oddać im swego rodzaju hołd, mając także nadzieję, że będzie to świadectwem dla potomnych. Jak mówią Anglosasi „last but not least” – podróże, bez których wędnę. Miejsca, w których mieszkalam, które odwiedziłam, ludzie, których spotkałam, ich doświadczenia, ale też i moje własne, to swoista przemiana „krwi w atrament”, jak powiedział T.S. Elliot.

Opowiedzcie nam o sobie bez poezji...

K.T.: To dość burzliwy okres w moim życiu, mnóstwo planów i decyzji do podjęcia. Planuję studia, zastanawiam się nad kierunkiem. Spędzam mnóstwo czasu ze znajomymi. Pandemia nie jest strasznym utrudnieniem, wręcz przeciwnie, poznałam mnóstwo nowych osób. Nałogowo słucham muzyki, była też zajawka na deskorolkę czy próby rapowania. Najczęściej po prostu robię spontaniczne rzeczy. Nie przepadam za rutyną, pewnie z wzajemnością.

K.G.: No przecież nie byłoby wywiadu bez niniejszego pytania [śmiech]. Pierwsze, o czym pomyślałam, to że jestem kobietą, i to już przed czterdziestką. Czy nie za późno na debiut [śmiech]? Jestem też mamą Leili, wspaniałej dziewczynki o charyzmatycznej osobowości i wyjątkowego syna o imieniu Ignacy, któremu obecnie czytam do snu atlasy i encyklopedie, jak na typowego Asa (tak mówią rodzice dzieci z zespołem Aspergera) przystało. Pracuję na UWM-ie w Katedrze Lingwistyki Stosowanej w Instytucie Językoznawstwa i bardzo cenię swoją pracę. Jeśli chodzi o czas wolny, to jest go mało. Uwielbiam szybką jazdę samochodem z muzyką „na maksa”. Serio! Nie mogłabym również żyć bez aktywności fizycznej. Odkrywam, iż siła fizyczna i zdrowie naszego ciała skorelowane są z „silną głową”. Wieczorem natomiast rozpylam się, zasiadając z dziećmi w jednym łóżku, czytając przeróżności i aktywnie przy tym dyskutując.

Czym są wasze wiersze? Czy to manifesty, zabawy słowem, odkrywanie konwencji?

K.T.: To głównie obserwacje, czasami cyniczne, czasami nie. Zabawy słowem i odkrywanie konwencji też mnie interesują. Lubię podchodzić do każdego tekstu indywidualnie i nazewnictwo wolę zostawić tym, którzy znają się na tym lepiej ode mnie. Ja po prostu chcę pisać i odkrywać nowe sposoby na wyrażanie myśli i uczuć.

K.G.: Znowu będzie ciężko, bo u mnie patetyzm wisi w powietrzu [śmiech]! Sparafrazuję teraz coś, co przeczytałam u Zbigniewa Chojnowskiego w jego najnowszej książce *Czytanie czytania*, a mianowicie czytając, nie boję się trudności poznawczej, ponieważ wymagam od siebie i innych wysiłku duchowego i umysłowego przy obcowaniu z tekstem. Oczywiście nie chodzi o to, żeby przytłaczać czytelnika, pouczać i tym podobne, ale skłaniać ku refleksji, pokazywać nowe, inne perspektywy, łączyć odważnie pewne konwencje myślenia, wychodzić ponad utarte schematy i zastale tradycje. Pomimo poszanowania formy, struktury i hierarchii – tej systemowej, jak i tej mentalnej – świadoma jestem jej ograniczoności i opresyjności, i jest we mnie potrzeba odwagi porzucenia jej choćby na chwilę. Porzucenia istniejącego porządku na rzecz czerpania z głębi oceanu treści i dotykania wielopoziomowych pułapów.

Czy aby czytać poezję, trzeba spełniać określone warunki? Czy poezja to dobro dla wybranych?

K.T.: Może, aby w pełni doświadczać poezji, potrzebne są predyspozycje, ale czytać można zawsze. Niech to będzie jeden wiersz w tygodniu. Na świecie jest tylu dobrych poetów, że każdy znajdzie coś dla siebie. Może dzięki temu jednemu wierszowi uda się błysnąć w towarzystwie, kto wie. W zasadzie to warto czytać tak ogólnie, nie tylko poezję.

K.G.: Zdziwię Państwa, ponieważ do niedawna myślałam, że nie. Że każdy jest w stanie

odkodować wiersz emocjami czy umysłem. To nie może być dobro dla wybranych. Ostatnio usłyszałam: „Po co użyłaś danego słowa, skoro większość go nie rozumie?”. I bez wnikania w system poznawczy czy wiedzę konkretnych osób uzmysłowiłam sobie, że poezja w pewnym sensie jest dobrem dla wybranych, ale nie tych „superwrażliwych” czy „superoczytaných”, lecz dla tych, którzy włożą wysiłek i wyrażą chęć i zaciekawienie światem, do którego zaprasza ich poezja.

Dokończcie, proszę, ten krótki list: *Drogi Czytelniku! Droga Czytelniczko! W swoim debiutanckim tomiku poetyckim opowiadam Ci o...*

K.T.: ...mieście pełnym zwykłych i niezwykłych miejsc. O tym, do czego popycha ambicja i starym opiekaczu. O nocach w Express Pubie i zblazowanych porankach. Można śmiało powiedzieć, że poruszam ludzkie tematy. Takie, do których odniesie się pani pracująca w sklepie za ladą, czy pani, która na co dzień zajmuje się prowadzeniem firmy. Nieważne, czy jesteś gościem, który lubi posiedzieć w barze, czy dyrektorem. Nie mówię ludziom, kto ma mnie czytać, a kto nie. To, o czym piszę, pewnie każdy przeżył i mam nadzieję, że to pomoże w znalezieniu odniesienia czy nawet podobieństwa. Fakt, często posługuję się cynizmem i jest to raczej naturalne. Ten typ tak ma. Najlepiej będzie, jeśli sam/a przeczytasz i wyrobisz swoje własne zdanie, bo ja mógłbym tak wymieniać w nieskończoność.

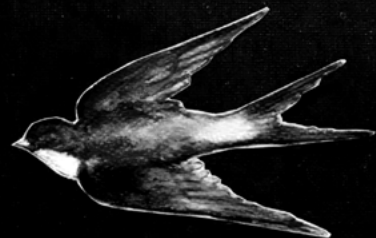
K.G.: ...tym, jak pracuje się w montażowni moich spostrzeżeń. Zapraszam Cię do wejścia do środka, przyjrzenia się tekstom, dotknięcia ich formy, skosztowania treści. To tylko montażownia, tam ciągle coś się dzieje, między innymi dzięki Tobie. Możemy budować i burzyć, zgadzać się i kwestionować, szeptać i krzyczeć, ale szukać. I przede wszystkim chcieć.

KATARZYNA GÓRA — urodzona w 1981 roku w Olsztynie, językoznawczyni, obywatelka świata: mieszkała na wschodnim wybrzeżu USA, zdawała kanadyjską maturę, była na wolontariacie w Indiach i odbyła kilka stażów na Uniwersytecie Genewskim. Debiutowała na łamach czasopisma literacko-kulturalnego „Borussia”. Publikowała także w „Gazecie Olsztyńskiej” i zinie literackim „Papierówka”. Członkini grupy twórczych kobiet „Półkowniczki”. Prezentowała swoją twórczość na wielu wydarzeniach kulturalnych. Autorka publikacji naukowych. Związana również z olsztyńską sceną tańca współczesnego jako wieloletnia tancerka Pracowni Tańca Współczesnego Pryzmat i in. Ponadto ceniąca sobie edukację dzieci i młodzieży krzewicielka zasad poszanowania drugiego człowieka i różnorodności kulturowej, współzałożycielka i animatorka grupy dla dzieci „Obywatele Świata”.

KRYSTIAN TRZASKOWSKI — urodzony w 1994 roku, absolwent III LO w Olsztynie. To tam zaczęła się przygoda z poezją. Slammer oraz uczestnik spotkań i akcji kulturalnych. Publikował w czasopismach literackich. Przez kilka lat związany z Olsztyńskim Klubem Literackim. Do życia podchodzi cynicznie, do poezji całkiem serio. Olsztynianin, kaskader codzienności.

Katarzyna Góra

MONTAŻOWNIA



MONIKA STĘPIEŃ

Debiut — szybka szkoła wychodzenia z bańki mentalnej

Chyba wokół żadnej innej książki nie narosta tak opasła mitologia (i idealizacja) jak wobec tej debiutanckiej. Myśl o debiucie napawa młodych twórców (rozumianych w perspektywie dorobku, a nie metryki) na równi lękiem, jak i ekscytacją. Przez wiele lat obserwuję proces tworzenia książek — korekty, dyskusje wokół okładek, niekończące się licytacje na płaszczyźnie autor-wydawca.

Debiut to niezwykle wdzięczny moment — jeszcze pełni wiary w świat literacki, jeszcze gotowi umrzeć za pisanie, pielęgnują swoją twórczość jak najwyższe dobro. Niesie to jednak za sobą równie intensywną pułapkę — na początku drogi twórczej zawsze niezwykle kusząca wydaje się mitologia bólu, który dotyczy „mnie” i „ja” w sposób bezkresnie niepowtarzalny i niekończący. Ta poetycka transmisja krzywd zazwyczaj przechodzi wraz z dorobkiem (i wiekiem). Pozwolę sobie jednak na stwierdzenie, że jest to rzecz niezwykle dobra. Oczywiście nad wyraz cenne jest, jeśli już od początku spomiędzy wszechobecnego „ja” widać przeświły czułości i otwartości. Banałem będzie zatem stwierdzenie (na który jednak sobie pozwolę), że nie ma piękniejszej i szlachetniejszej rzeczy niż pozwolenie sobie na okiełznanie rzeczywistości i próbę wytłumaczenia tego, co dzieje się we mnie (samym, jak i przy spotkaniu z tym, co zewnętrzne) właśnie poprzez poezję. Wiersz, choć kojarzący się z czymś romantycznym, miękkim i unoszącym, od zawsze był przecież nośnikiem buntu. Chociaż forma zmieniała się z pokolenia na pokolenie (lub z epoki na epokę), nic nie jest dla mnie tak fascynujące, jak kreujący wiersze dynamizm poetyckiego języka.

I tak jak krytycy nieustannie dopracowujący swoje estetyczne stanowisko, tak piszący stałości unikać powinni — nie ma nic bardziej fascynującego dla odbiorcy (w tym krytyka także), jak obserwowanie rozwoju tego żywego organizmu, jakim jest język. Odwaga wykraczania poza swoje nisze — mówiące tym samym językiem i te same wartości wyznające — pozwala twórcom lub twórczyni spotkać się ze swoim językiem „twarzą w twarz”, a czasem nawet obejrzeć go dookoła. Dystans i pokora to niezbędne czynniki do poznania autorskiego języka — zrozumienia nie tylko, co chcę powiedzieć, ale także dlaczego używam do tego konkretnych słów? Czy wciąż te same słowa są w stanie określić nowe dla mnie rzeczy? Skąd wtedy wiem, co jest nowe, a czego nie rozumiem? Jak nie przeoczyć szans na rozczarowanie brakiem talentu lub przejawu niezwyklej błyskotliwości języka? I tu pojawia się doskonała sposobność na wyjście poza „ja” i „moje”: poezja potrzebuje czytania i rozmów — to najprostsza recepta na to, aby nie stać się więźniem swojej „bańki mentalnej” (i językowej oczywiście). Potrzebuje wymiany poglądów, pokoleniowych kłótni, negacji, wsparcia i utarczek. Bez tego wiersz staje się tylko dźwiękiem, a nie śmiało wygłoszonym komunikatem.

Tak, wiem, wielu powie — poezja przecież to nie tylko język. I zgodzę się z uściśnieniem ręki! Poezja cała jest ze spraw ludzkich, bo zrobiona jest z człowieka. Dlatego właśnie nie może poprzez język wyblakły stać się opowieścią naskórkową o tanich uniesieniach i ulotnych, „wielkich” sprawach. I tak jak człowiek jest konstelacją wewnętrznych konstelacji, powiązanych z tymi na zewnątrz, tak i poezja

potrzebuje niezwykle świadomego i nieustannie poznawanego narzędzia, jakim jest język. Stąd jego ważność (i uważność!).

Być może właśnie dlatego moment debiutu staje się momentem próby. To czas sprawdzenia, czy o swojej twórczości potrafię opowiadać, czy sprawy tak dla mnie ważne rzeczywiście są tak uniwersalne, jak się mi wydaje? Piszących często przygniata marketingowo-życiowy natłok i niejednokrotnie odpadają już w przedbiegach. A prawda jest często wspólna dla wielu dziedzin: jeśli sam nie dopilnujesz pewnych spraw — nikt tego za ciebie nie zrobi. Dlatego pamiętaj o tym, że wspaniale jest, kiedy wiersze bronią się same, ale żyjemy w epoce tzw. nowego czytelnika, który zwraca uwagę na literówki, oprawę graficzną, papier, social media i to, co najważniejsze — jak TY opowiadasz o swojej książce. I jeżeli jest ona najważniejszą rzeczą w życiu i zdecydowałaś/teś się na oddanie w cudze ręce tak wiele z tego, co wewnątrz — nie wstydź się i nie krępuj mówić z miłośnią i pasją o tym, co powstało. Przecież nam (siedzącym w umownym i okrągłym kim środowisku literackim) tak samo jak tobie zależy na tym, by poezja przetrwała czy to przy kominku, czy wykrzyczana jako manifest w miejskim autobusie.

Recept i szkół jest wiele i będzie jeszcze więcej — od sonetu po instapoezję, od rymów po łamiące wszelkie zasady frazy — dlatego podzielę się z tobą trzema radami, które zawsze przekazuję debiutantom, z którymi pracuję: 1. Pisz o uczuciach i emocjach, ale nie pozwalaj się im prowadzić. 2. Pamiętaj — pokora to nie bierność, to odwaga do otwarcia się na nowe, nieznane i czasem nieprzyjemne. 3. Najpierw napisz (przetraj korektę, redakcję, pożegnaj najstarsze teksty) — a potem dopiero zastanawiaj się, co zrobisz z tymi wszystkimi nagrodami, które na ciebie czekają!



(1), Magdalena Szczuraszek

MARTA PIETRASZUN

DRZEWO W WIADRZE

W gruncie rzeczy jestem wkopane w ziemię,
wyglądam jakbym było pod kloszem od pasa w dół,
ale tylko wy, moje robaczki, macie szansę sprawdzić,
Czy mój kontakt z glebą
ogranicza się do dziurek wypalonych rozgrzanym szydełkiem
przez szanownych staruszków,
którzy zachowali dla mnie
opakowanie po Śnieżce.
Czy udało mi się własną,
wychodowaną w komfortowym czarnoziemie
bryłą korzeniową przebić dno
i dotknąć chociaż piachu
własnego blokowiska.
24.04.2019

MOJE ULUBIONE ZDJĘCIE

Łysiejący wujek z najbrzydszą zaczeską świata,
ciotka, której twarz nawet na zdjęciu jest dla mnie groźna,
moje dwie babcie stojące obok siebie dla podkreślenia kontrastu,
jedna stosownie starsza i chudsza,
druga żwawsza, futrzasta.
Matka z kosmykiem na czole
patrząca prosto w obiektyw,
jakaś statystka w żółtej
kurtce, podejrzewam, że ktoś ze strony ojca.
No i wreszcie Ja na jego rękach,
czerwony krasnal, który właśnie skończył
dwa lata, cyfry w rogu potwierdzają:
jest dokładnie dzień po moich urodzinach.
Patrzę na dziadka z góry,
wygląda fascynująco
z kwiatami w tej niecodziennej odsonie,
jest pięknie ubrany i zapakowany,
ma nawet celofanową koronkę na pudełku.
Na miejscu Boga na pewno bym go wybrała.
Pstryk, babcia też znalazła się w pudełeczku.
Pstryk, druga babcia wyszła z kadru z ojcem i statystką.

MARTA PIETRASZUN — magister biologii, terapeutka zajęciowa. Interesuje się psychologią, polityką społeczną i ochroną przyrody. Stara się okiełznać bałagan wokół siebie i we własnej głowie. Ceni twórcze i nieszablone podejście do życia. Publikowane wiersze to jej indywidualny debiut.

PIOTR JODKO

MONEY MAKE MONEY

ty też możesz robić pieniądz
przecież jesteś kowalem własnego losu
brzmi jak oksymoron egzystencjalny

kowal własnego losu
który zapytany o życie odpowie „praca”
kowal własnego losu
za którym kroczy cień nieludzkiego kredytu
kowal własnego losu
który każdy grosz przeznacza na codzienne funkcjonowanie

KOWAL WŁASNEGO LOSU

ale nikt go nie pyta o warsztat

gender reveal party
pochoł się płcią bobasa
ale tak by Kalifornia stanęła w płomieniach

entuzjazm tli się na całym świecie
dolejesz oliwy
czy rzucisz się za swoim dzieckiem w ogień?

nawet gdy jego płciowość nie będzie ograniczać się
do samego różu czy odcieni niebieskiego

w rozmowie z drugim człowiekiem najbardziej przerażają mnie dwie rzeczy:
przerost formy nad treścią
przerost treści nad formą
i naprawdę nie wiem która z nich jest gorsza

puste słowa przy pełnym stole
w miejscu tak odpowiednim aż nierealnym
czy wodospad faktów lejący się w pubie
przy piwie z nowo poznaną osobą?

PIOTR JODKO (ur. 1999) — student kulturoznawstwa na Uniwersytecie im. Adama Mickiewicza w Poznaniu. Urodzony i wychowany na Mazurach. Głównie interesuje się zagadnieniami związanymi z płciowością, cielesnością, seksualnością, feminizmem i prawami człowieka.

KONKURS LITERACKI *O TRZCINĘ KORTOWA* 2020

Na X edycję Konkursu Literackiego *O Trzcinę Kortowa* nadesłano 65 wierszy w 22 zestawach. Przystane zostały ze szkół średnich Dobrego Miasta, Gołdapi, Górowa Iławeckiego, Kętrzyna i Olsztyna. W tekstach dominuje ton apokaliptyczny, lecz nie ustępuje tęsknota za dobrem, miłością, nadzieją. W kilku tekstach czas pandemii odcisnął się bardziej wprost niż w pozostałych. Koronawirus odmienił nasze postrzeganie siebie, choćby bliskość człowieka z człowiekiem stała się wartością dwuznaczną. Jak zwykle młodzi piszą o swoich pierwszych rozczarowaniach i lękach przed życiem. Buntują się w imię niejasnych idei. Język utworów jest na ogół poprawny. Powróciła plaga łatwego rymowania. Najlepsze wiersze to te, w których autor wpadł na ciekawy koncept, aby powiedzieć coś o sobie lub problemach swojego czasu.

Wskazanie najbardziej ciekawych nazwisk (wierszy) w X edycji Konkursu Literackiego *O Trzcinę Kortowa* przez jury w składzie: prof. Zbigniew Chojnowski, mgr Monika Stępień, prof. Beata Tarnowska było w tym roku mniejszym problemem niż ustawienie ich w hierarchii. W nadesłanych zestawach zdarzało się często tak, że zazwyczaj tylko jeden wiersz można było uznać za co najmniej dobry, zaś następne dwa były bardziej lub mniej, ale wyraźnie słabsze. Dlatego w werdykcie jurorzy wymieniają obok nazwiska tytuł utworu, który godny był nagrodzenia lub wyróżnienia. Ostatecznie jury przyznało 6 równorzędnych nagród i 5 równorzędnych wyróżnień.

Nagrodzeni:

Bartosz Danisewicz z LO II w Olsztynie za wiersz *Artefakty*

Klaudia Gulewicz z LO III w Olsztynie za wiersz *Do choroby*

Weronika Surowiec LO im. J. Bażyńskiego w Ostródzie za wiersz *Chciałabym cię znów zobaczyć...*

Jan Szulc z LO w Kętrzynie za wiersz *Dekerałt*

Zofia Warzocha z LO I w Olsztynie za wiersz *Prowokacja*

Damian Wojciech Woda z LO II w Olsztynie za wiersz *Człowiek*

Wyróżnieni:

Krystian Dominiczak z LO im. J. Bażyńskiego w Ostródzie za wiersz *Źródło III – Strugowiska* dedykowany Jackowi Kaczmarskiemu

Michał Fodemski z LO XIII im. Św. Rodziny w Olsztynie za wiersze *Epigram; Film*

Dominika Jankowska z LO im. J. Bażyńskiego w Ostródzie za wiersz *Labirynt*

Oskar Kołoszko z LO V w Olsztynie za wiersz *Teatr światel*

Oliwia Turek z LO IV w Olsztynie za wiersz (nie) *Szczęście*.

Zbigniew Chojnowski

Bartosz Danisewicz

ARTEFAKTY

dreszcze przebiegają
po mojej skórze,
zahaczając o sensualność,
dotykają moich pięknych blizn
po łzach, które poparzyły i zamroziły
niczym epoka lodowcowa
płynącą w żyłach krew,
która zagotowała się na Twój widok.

omijam oszklone ekspozyty,
bo odbija się w ich osłonie
ktoś, kto nie należy do mnie,
a do Ciebie.
byłoby zamarznąć na dobre.
zastygnąć na twarzy,
gdzieś pomiędzy uśmiechem
a smutnym grymasem.
żeby ty ze smutku,
nie można było na
pierwszy rzut oka odróżnić od
kropli potu spowodowanej podnieceniem,
żeby włosy opadły na moje oczy,
zakrywając dostęp do renesansowego teleskopu,
który pozwala na obserwację błysków w
onieśmielającym spojrzeniu.

i może kiedyś
nieoczekiwanym przypadkiem
na wycieczce po tym pseudo-Luwrze
napotkasz ten smutny posąg
naszych wspomnień.

Zofia Warzocha

PROWOKACJA

Mam
Dziwaczny chaos
Manifest losowości
Surrealizm lampy
Przypadkowość motyla
Własny
Świat

Zamiast tablicy abstrakcja
Czarny kwadrat abstrakcja
Prawdziwa sztuka
Nie z nudnej głowy
A z tego co dudni
Głęboko
Prosto

Zamiast wiersza koncept

Czysta forma

Tak prymitywna

Tak szczerza

Jan Szulc

DEKERAKT

Życia mego wahadło rzuca się w dwie strony
Niczym sędzia zwisając nad ziemskim padolem
Gdzie mędrzy ze zmęczenia biją w ziemię czołem
Patrząc nieustannie w kształt jakiś niewzruszony
I pytając: «Kwadratem jest li? Czy jest kołem?»

Życia mego wahadło rzuca się w dwie strony
Między sądami będąc rozdziwkiem, rozbratem
Gdy jedni krzyczą «Kołem!» drudzy: «Jest kwadratem!»
Atakując się wzajem w grze samoobrony
Zawsze słuszni przed kształtu wiecznym majestatem

Życia mego wahadło rzuca się w dwie strony
Błąkam się między nimi jak zgubiony malec
W tej wojnie mędrców środek mogą tylko zalec
Błędymi pociskami raz wraz być raniony
Wtem wszystko wiem – to nie kształt – to bryła – to walec!!!

Życia mego wahadło rzuca się w dwie strony
Nowe odkrycie lekko zwalnia ruch nerwowy
Lecz wtem: «To nie jest walec!» Rzecz głoś morowy
«To graniastosłup!» Chwilę patrzę nań, zdziwiony
I znów rozumiem: Kształt jest – czterowymiarowy!

Życia mego wahadło rzuca się w dwie strony
Gdyż niemożność poznania jest jedynym faktem
Chęć odkrycia całości – desperackim aktem
Znów nie wiedząc, co jest czym, opadam znudzony
Gdyż każdy prosty kwadrat stał się dekeraktem

Życia mego wahadło rzuca się w dwie strony
Nie odróżniam przeciwności w tańcu chaotycznym
Każda ma myśl się kończy atakiem panicznym
Życia mego wahadło rzuca się w dwie strony
I nigdy nie ustanie w ruchu spazmatycznym

Weronika Surowiec

CHCIAŁABYM CIĘ ZNÓW ZOBACZYĆ...

Jak woda przelałeś się przez palce moje.
Nie usłyszysz już twego głosu,
nie poznam niekończących się opowieści,
o tym, jak uciekałeś z bronią w rękę,
jak dzielnie broniłeś swojego kraju.

Zawsze byłeś odważny.
Nawet gdy wróg krył się w tobie,
zalewał każdy skrawek twego ciała,
ty nie odpuściłeś do ostatniego tchu,
nie poddałeś się tak łatwo.

Śmierć nigdy nie miała takiego przeciwnika.
Bezlitośnie wyrwała cię z naszych rąk
mimo błagań, płaczu, modlitw,
nie patrząc na ruiny po sobie zostawione,
ani na rany, jakie posiała.

Jak kowal ukształtowała ból i cierpienie.
Następnie zesała nam swe sługi i kamienie,
by mogli nas dręczyć latami,
by dni przestały być radosne,
a noce w rozterce żałosne.

Chciałabym cię znów zobaczyć.
Choć dzielą nas zaświaty,
wiem, że dumą ze mnie jesteś rozparty,
uśmiesz się, wypatrujesz, by mnie zobaczyć.

Damian Wojciech Woda

CZŁOWIEK

Nad nami widnokrąg niebieski,
patrząc na wysokości,
wciąż szukamy tajemnic,
których szept wiatr w lasach kryje,
albo tak nam się zdaje,
dzieląc ziemskie chwile.

Szukamy transcendentnej wiedzy,
takiej gnozy nieskończoności.
Ach, spójrz na człowieka.
Nie rozumiałeś? Wielka szkoda.
On największą z niewiadomych.

Klaudia Gulewicz

DO CHOROBY

Jesteś jak toksyczna przyjaciółka
od której nie umiem się odciąć
poświęcasz mi bardzo dużo uwagi
o którą nigdy Cię nie prosiłam
zabrałaś mojej matce córkę
chłopakowi dziewczynę
siostrze siostrę
a mi zabrałaś duszę
każdego dnia gubię kolejne części siebie
w twojej pułapce z niewiedzą
czy kiedyś zdołam je odzyskać
rozpoczęłaś tę wojnę którą pora zakończyć
ty jesteś sama
ja wokół mam bliskich

WACŁAW SOBASZEK

Spiski życiowe. Dziennik węgajcki (fragmenty niepublikowane w książce)

20 lipca 2020

Odkrycia.

Piękna sosna rośnie tam za górką. Pień szeroki, leciwy, starodrzewny, jakby z baśni o mądrych zwierzętach, mieszkańców stumilowego lasu. Zaskoczyła mnie jej obecność. Musiała zawsze tam być, bo przecież nie przyszła skądś, z głębi. Czuwała przy nas, w bliskości, po cichu rosta.

Brzezina to seans, to przestrzeń jedyna, uciekająca w głąb, skąd światło sączące się między pniami, jakby słońce w nich zachodziło. Przestrzeń plastyczna namacalna, ale też muzyczna, rytmiczna, słyszalna.

30 lipca 2020

Virus flat ubi vult... wirus wionie, kędy chce.

Młodzi się boją, starzy się trwożą. Strach jest złym doradcą, lęk jest wampirem. Pandemia to dwuklasowe społeczeństwo, to gerontocyd. Młodzi przeżyją, starzy pójdą na zatracenie.

8 sierpnia 2020

W Chłopach przypadkowo się znaleźliśmy, bo samochód miał awarię i jest w warsztacie. Do morza było tylko siedem kilometrów. Siedzimy teraz na plaży w porcie rybackim. W tłumie gawiedzi nic nierobiącej. Obok rybacy na naszych oczach coś robią przy swoich kutrach. Nagle gwizd, pokrzykiwanie. Mamy się rozstąpić, bo będą spławiać zielony kuter. Stajemy się widownią, ustawieni w rzędach, w nie zawsze bezpiecznych odstępach, wpatrujemy się wszyscy w scenę „rodzajową”. Rybacy odpływają, mają sieci zaopatrzone w kolorowe boje, będą łowić. Machają nam na pożegnanie.

Wracając, przejeżdżamy przez Mielno, okazuje się ono być turystyczną Mekką. Tłumy plażowiczów, korki na szosie dojazdowej. Na peryferiach powstają nowe osiedla. Oto billboard jednego z nich: „Dla celebrytów i pracowników”.

WACŁAW SOBASZEK (26 lipca 1956 r.) — zaczynał działalność artystyczną w Pracowni Olsztyńskiej, interdyscyplinarnej placówce twórczo-badawczej. Od 1982 roku w Węgajtach. W bliskiej współpracy z żoną Erdmute przygotowuje spektakle z kolejno powstającymi tu zespołami: Teatru Wiejskiego Węgajty (1986), Projektu Terenowego (1996), Innej Szkoły Teatralnej (2010). Jest gospodarzem międzynarodowego festiwalu Wioska Teatralna. Pod szyldem Teatru Potrzebnego tworzy spektakle z udziałem mieszkańców Domu Pomocy Społecznej w Jonkowie. Realizuje projekty teatralne w Albanii, Białorusi i na Tajwanie oraz długofalowy program teatralno-ekologicznej aktywności do roku 2030 pt. *Źródła i przyszłość*. Píše teksty własnych songów teatralnych, wiersze (tomik *Pomiędzy*, 2017). Przytoczone fragmenty to nieopublikowane teksty, które nie zostały włączone do książki z roku 2020 pt. *Spiski życiowe* (wyd. Stowarzyszenie Węgajty).

22 września 2020

Nie czyń drugiemu, co tobie niemiłe? Ja bym to przeinaczył. Nie czyń drugiemu, co jemu niemiłe.

23 września 2020

Das Vermächtnis. Gdy umrę, spalcie mnie owiniętego w tęczową flagę.

30 września 2020

Zadrżały mi kolana, gdy szedłem wczoraj przez Park Centralny do Szpitala Miejskiego po odbiór wyników. Spróbowałem mocniej stąpać, parę razy nawet przytupnąłem, by lepiej poczuć grunt. Pomogło, gdy na karcie z wynikami odczytałem moją diagnozę... jakoś zdzierzyłem. Kiedyś wyobrażałem sobie, że w takim przypadku pewnie bym padł. Słyszałem też, że osoby z nadciśnieniem muszą uważać, bo organizm może zareagować gwałtownie.

29 października 2020

Tam to jakaś betonowa pustynia, ten Natolin. Tam bardzo żałościwie się dziś poczułem, jakieś lęki mnie opadły, czy co? Szedłem na badania do Szpitala Mazovia. Idę, a wokół ten neoliberalny legoland. Usiadłem na kamieniu, co był dekoracją trawnika i zacząłem jeść z termosu mój ryż, bo miałem wolne pół godziny, a po południu tomografia i nie będę mógł przez cztery godziny jeść, więc trzeba zjeść teraz. Strasznie smutno i słabo mi się zrobiło, jakby epileptycznie. Myśl przemknęła, że padnę tu albo mnie roznieś na różne strony, albo uniesie do tego pustego nieba. *To jest moja ojczyzna* — te słowa mi się niespodziewanie wyrwały z ust, wypowiedziałem je półgłosem. Zacząłem się jeszcze raz rozglądać wokół. Jakby przyjaźniejszym wzrokiem ten świat na mnie teraz patrzył. Odetchnąłem.



Fot. Monika Stepień

19 listopada 2020

Próbuję wszystko przemyśleć na nowo. Badam swoje myśli, swoje stany. Czasem nie czuję siebie w ogóle. Potem odzyskuję wewnętrzne zwierciadło, znowu mogę myśleć o sobie. Kim jestem? Gdy zaczynam myśleć o mnie jako o kimś, to chyba wpadam w mistyfikację. Bo nie jestem ani tym, ani tamtym. Ani niezwykłym, ani pospolitym, ani superważnym, ani nieważnym. Powinienem chyba nastawić się na przepływ. To coś we mnie to żywioł albo różne żywioły, płynne, lotne. Jednak i to grozi popadnięciem w psychiczne lenistwo. Muszę nie przystawać, nie ustawać, działać, najlepiej z kimś, w jakimś wspólnym ruchu, dążeniu. Użyć własnego temperamentu, nie bać się zatracenia, właśnie w nieoddzieleniu jest sens.

1 grudnia 2020

Leżę. Od dwóch dni poza szpitalem. Odstawiłem nurofeny, ketofeny, próbuję inaczej radzić sobie z bólem. Niestety nie wiem, jak daleko zajadę, noc nie była lekka. Poranek słoneczny podciąga mnie trochę do góry. Mieszkanie na Starych Bielanych napelnione promienną obecnością Krzysia G., w którym jesteśmy dzięki Ewie i Natalce — idealne miejsce do twórczej pracy. Więc leżąc, podpatruję jednym okiem, jak Mutka szlifuje dziś film, który zrobiła wspólnie z Maćkiem Janickim, *O powstawaniu „Rozziewu”*. Strasznie mnie to cieszy, bo cały ten rok był tragicznie niepomyślny dla naszych spektakli. Beztroska miała być na Slot Festival, na czeskim Obozie dla Klimatu, na festiwalu w Monachium. Premiera *Rozziewu* miała być w Prokopskiej Udoli koło Pragi. Wszystko odwołane! Cud, że *Rozziew* mógł mieć swoją sierpniową próbę generalną. Drugi moment optymistyczny to właśnie pomysł, by film przyszedł na pomoc teatrowi. Nie chodzi o kolejny spektakl online. Przyszła chwila, by przy pomocy filmu pokazać proces pracy nad spektaklem, w różnych jej aspektach.

Wczoraj wyrwałem się na miasto taksówką, musiałem awaryjnie pędzić 30 kilometrów do szpitala w Natolinie, bo się worek od drenu uszkodził. Omijamy korki w nieprawdopodobnym labiryncie głównie nowych dla mnie dzielnic, choć myślałem, że znam dobrze Warszawę. Wszędzie Black Friday, tłumy, billboardy, dziwne kościoły.

Radio nadaje o protestach, komentarze z różnych stron — lewej, prawej. Zapowiedź nowej, rolniczej Agrounii. Głos Kołodziejczaka przebija wszystko, cały ten gąszcz, jak strzała. Mam wrażenie, że on „upija się własnym głosem”. Wreszcie i trafna ilustracja muzyczna. *Przeżyj to sam!* — zespół Lombard. Krystaliczne brzmienie taksówkowych głośników. Szybujemy w przestrzeni. Próbuję tamanym głosem śpiewać refren: *Nie zamieniaj serca w twardy głaz! Póki jeszcze serce masz!*

Tam w szpitalu, jak byłem cały tydzień, to doświadczyłem wielkiej pomocy od ludzi. Pani Bożenka, pielęgniarka, i Pani Ania, i inne bezimienne Sisters of Mercy. Kleiki, które mi z miasta donosili Jola, Kasia, Tanna, Leszek. Seba, który wieczorem dowiózł oliwę z oliwek, a rano już był znowu, by mnie przetransportować na Bielany. Miu wysłała nagranie, zaśpiewała przepięknie leczniczą, szamańską pieśń, moja siostra zadzwoniła z opowieściami o zdrowiu naszej Mamy, Dżakob wysłał magiczną fotkę z pieskami w aurze pełni księżyca, Tanna zadzwoniła...

5 grudnia 2020

Pooperacyjna skarga pisemna. Grudzień we mgle i w bólu co niemiara. Codziennie inny. Przecierpieć, przeczekać, kogoś doczekać się. Rozmowy przez telefon, głosy w słuchawce, co horyzont rozjaśni. Na szczęście tyle was mam, całe zastępy przyjaciół w biedzie. Wieczorem pewnie znowu ktoś zadzwoni.

20 grudnia 2020

Słabość pooperacyjna. Moje anemiczne kroki przez las. Dziś ujrzałem wśród mchu butelkę i nie podniosłem jej. Odłożyłem jej podniesienie na nieco późniejsze, lepsze czasy. I tak to ze mną jest. Na demonstrację nie pójde, liczę na innych, że pójdą.

27 stycznia 2021

Czytam wywiad z Jane Goodall. Ma ona nadzieję, że tysiące ludzi, którzy z powodu lockdownu w końcu zaczęli oddychać czystszym powietrzem i po raz pierwszy w życiu ujrzeli świecące na niebie gwiazdy, nie zechcą wrócić do starych nawyków, gdy pandemia się skończy.

MARTA ANTOS

Na ogół przewiduje się, że za około 7,59 mld lat planeta zostanie wchłonięta przez atmosferę Słońca i ulegnie zniszczeniu.

[K.P. Schröder, Robert Cannon Smith, *Distant future of the Sun and Earth revisited*, „Monthly Notices of the Royal Astronomical Society”, Volume 386, Issue 1, p. 155, 2008]

Powitajmy (kata)strofy naturalne

Powodzie, pożary i poezje

To przychodzi falami

W zwykły dzień powszedni

Zachowajcie ekokorpusy spragnione krwi człowieka

Na poligonie już dość tłoczno i bez nich

W Dzień Matki w wyrazie szacunku palnijcie sobie w łeb

Wszyscy jesteśmy jej pasożytami

Podążymy śladem gruboskórnych pradziadów

Pokornych przeżuwaczy i krwiożerczych bestii

By stać się paliwem dla nowych pólbogów

Czas zrozumieć, że w tej grze nie ma zwycięzców

Czujesz kopnięcie — to ziemia się zatrzęsa

Biegnij tak, by nie potknąć się o pępownię

Przewieć do łożyska i zbierz ostanie litry ropy

Zanim wyleją wody wszystkich oceanów

Do ostatecznego rozwiązania dojdzie siłami natury

Nie ma co się martwić

Ziemia pochłonie nas w całości

Blizny później nie będzie

TRANKWILIZATOR

Zasypiam w objęciach nowego brutalizmu.

Nawet bezsenność jest lepsza niż bezcelowość.

Trzymam się kurczowo ostatniej paranoi

W akcie ideacji.

Normalnie w takich przypadkach

Czas działa na twoją korzyść.

Mózg by się uśmieł, gdyby nie to,

Że śpi na dnie czaszki naćpany kortyzolem.

Całe dnie kręcę się poza marginesem

W poszukiwaniu arché mojej nerwicy,

Niestety trafiam tylko na rozdwojenie końcówek

Aż w końcu i jaźni.

W wieku dziesięciu lat usunęli mi kły

I utraciłam całą swoją drapieżność.

Jedynym dowodem mojej błękitnej krwi

Pozostał paniczny lęk.

Od konfesjonatu do konfesjonalizmu.

Wariograf śledzi każde zdanie.

Tutaj mieszkają same najgorsze decyzje

I jesteś też ty — mój trankwilizator.

Wybacz ten mały afekcik,

To się więcej nie powtórzy.

Przepraszam też za brak głębi,

Ale została ze mnie sama wydmuszka.

ILONA MŁODZIŃSKA

POPIÓŁ

Dym papierosowy mi szkodzi

czarne koty nasłuchują kroku

Twój świat kończy się za powiekami

palcami wymierzasz granice

nie wdychasz powietrza

a oddechy

popękane struny, szepczą Ci piosenkę sprzed dekady

wypowiedz moje imię

nim koguci śpiew strąci popiół z białych ramion

ODPUST

W malachitowych izbach

promocja na zbawienie

za rogiem wnieśli kolejną Gólgotę

monopolowa ulga

filcowa bańka nie pęknie

a tylko

dłonie z falbany utkają modły

NIC

Lgnę do mroku

bo tylko tam widzę to NIC

którym nasycam spragnione odpowiedzi

To NIC, przedzierające się przez wyrwę drżących ust

To NIC, co w pół urwane pluje pragnieniami

To NIC, zrodzone w krzyku zduszonych trzewi

To NIC usypia sztormy

To NIC to nasza mantra

W SAMYM ŚRODKU — GALERIA VARIARTA

Wystawa 3x50

Międzynarodowy Przegląd Sztuki Nowoczesnej „3x50” to pomysł na prezentację twórczości, który zrodził się w gronie artystów. Pierwsza wystawa odbyła się w Galerii Sztuki „Synagoga” w Barczewie latem 2020 roku, a w roku 2021 dołączyły kolejne miasta: Warszawa, Kraków i Frombork. Tematyka prac i technika są dowolne, a tym, co je łączy, jest format 50 x 50 cm. W czasie pandemii okazało się, że jest to doskonała proporcja do prezentacji w mediach społecznościowych. Na Instagramie tworzą się prawdziwe cyfrowe galerie. Często artyści łączą swoje prace tworząc tryptyki — każda z prac może stanowić samodzielne dzieło albo temat ujawnia się w pełni dopiero w zestawieniu trzech obrazów. Gdyby z prezentowanych we Fromborku obrazów wysnuwać wnioski na temat tego, co teraz interesuje twórców, to będzie to często świat nierzeczywisty, magiczny, rzadko goszczący ludzi, a jeśli już pojawiają się ludzie, to zwykle są samotni bądź potraktowani fragmentarycznie jako pretekst do odkrywania emocji i relacji. Na rzeczywistość artyści patrzą z bliska lub z dystansu, który pozwala odkryć linię horyzontu. Zdarzają się jasne nawiązania do wcześniejszych dzieł kultury, jak choćby cykl czaszek inspirowanych pop-artem, ale tym razem z przesłaniem memento mori. Czy czaszki zwierząt użyte zamiast ludzkich twarzy to też sygnał nowych refleksji w świecie sztuki? Pomysłodawcą przeglądu jest olsztyński artysta Adam Wyżlic, który wcześniej zaprosił artystów z Polski i zagranicy do stworzenia wystawy „Kiodygresy”. Organizowane obecnie wystawy „3x50” są dowodem na to, że współpraca się rozwinęła i zarówno w artystach, jak i w gospodarzach miejsc prezentacji jest potrzeba działania i spotkania się choćby w tak okrojonej formule jak teraz. Brakuje nam obecności artystów przy aranżowaniu wystawy, staramy się więc zadbać o ich prace jak o dobrych gości. Znajdujemy dla nich dobre miejsca, szukamy odpowiedniego sąsiedztwa, sprawdzamy, jak na siebie działają. Prace prezentujemy w przestrzeni Internetu (#wozowniasztuk) z nadzieją, że uda nam się otworzyć galerię przed końcem wystawy. Teraz poznajemy artystów dzięki nagrany przez nich wypowiedziom i przesłanym tekstom i możemy przeczuwać, jak interesujące i inspirujące byłoby spotkanie przy lampce wina.

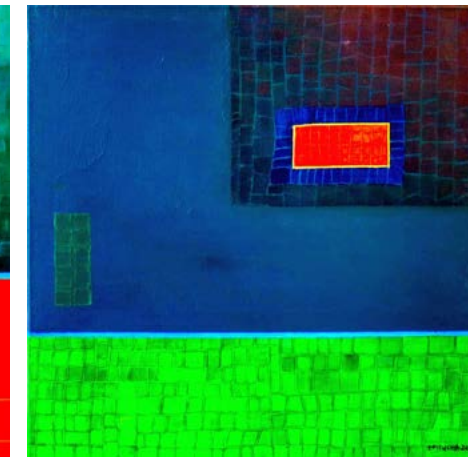
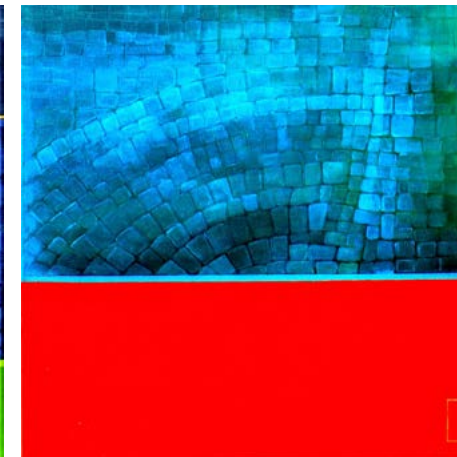
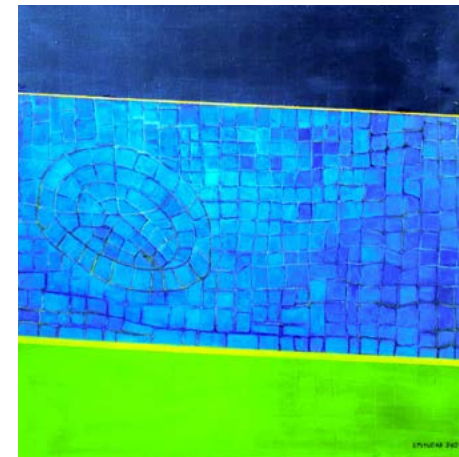
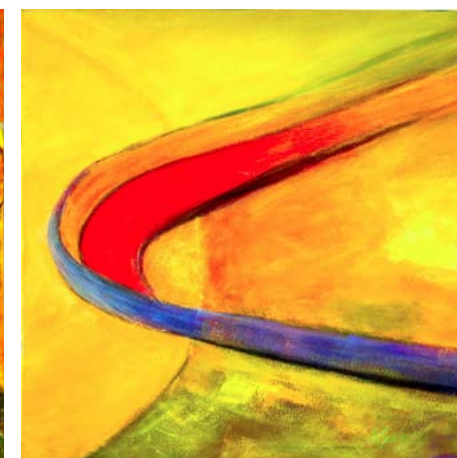
Maja Dzieciątek — kuratorka wystawy Wozownia Sztuk Frombork

MARTA ANTOS (ur. 1998 r. w Olsztynie) — studentka filozofii zakochana w kulturze i sztuce Dalekiego Wschodu, szczególnie w filmach Kar Wai Wonga. Lubi białe wiersze i czarną kawę. Wolna od wszystkich nałogów poza pisaniem. W wolnym czasie amatorsko gra na perkusji albo kradnie przypadkowe słowa z gazet. Publikowane wiersze są jej debiutem prasowym.

ILONA MŁODZIŃSKA — (ur. 2000 r. w Szczytnie) — studentka filologii polskiej Uniwersytetu Gdańskiego. Podróżuje, czyta i obserwuje. Fascynują ją zagadnienia ze świata psychologii, kinematografii i muzyki. Poszukuje piękna, słońca i naturalnie błękitnych dali. Otaczającą ją rzeczywistość odciska w starym zeszycie. Jak twierdzi — czasami wypełźnie z niego jakaś poezja.

MIĘDZYNARODOWY PRZEGLĄD SZTUKI NOWOCZESNEJ

3X50

*Ad meliora (2), Agata Dorobek, tempera**Cykl: Antyczne medium, Emilia Pitucha**Frombork katedra, Mirosław Krzyśków**Olsztyn Stare Miasto, Mirosław Krzyśków**Kętrzyn kościół św. Jerzego, Mirosław Krzyśków**Cykl: Zawirowania, Wiesława Siejka*

MARIA ZIELONKA

Szkłany dom

Na gałęziach nie pozostał już ani jeden liść. Nie pamiętała właściwie, od kiedy tak jest, na pewno od kilku lat. Dlatego widząc dwa liście pływające w kałuży, naprawdę się zdziwiła. Był to widok na tyle niezwykły, że nie miała ochoty zakłócać ich spokoju, gdy pływały po powierzchni wody. Całej tej scenie towarzyszył zapach tzw. podeszczowy, czyli najlepszy, jaki tylko istnieje. Wpatrywała się w dryfujące, o dziwo, kolorowe liście. Postanowiła zabrać ze sobą tę chwilę na dłużej i sięgnęła po jednego, bardziej żółtego. Ściskając ogonek, ruszyła dalej w kierunku wieży. Szła szarym chodnikiem lub czymś, co kiedyś nim było. Minęła bury staw. W tym braku kolorów żółty tym bardziej wydał się jej tak oderwany od tego, co знаła. Zerwał się wiatr, schowała liść do kieszeni również szarego płaszcza, by przypadkiem nie odleciał. Nie mogła sobie pozwolić na stratę tak cennego znaleziska. Spojrzała na wieżę, na której zegar pokazywał już dziesiątą. Możliwe, że powinna zacząć już biec, żeby zdążyć do domu na czas. Nie miała jednak siły, by znowu spieszyć się dokąś. Przez chwilę miała ochotę, by zrobić światu jeszcze bardziej na złość i usiąść na trawie, którą przed takimi jak ona bronił ogromny, czerwony napis „nie niszczy zieleni”. Dziwne, że ktoś kiedyś wpadł na pomysł, by nie chodzić po trawie. Filozofowała na temat trawników i terenów zielonych, gdy nagle go zobaczyła. Zawsze tędy szła i jeszcze nigdy nikogo nie spotkała. Przestraszyła się. Kiwnęli sobie głowami na powitanie.

— Chcesz się przejść? — zapytał.

Zgodziła się, choć miała wątpliwości co do słuszności tej decyzji. Zaczęli iść w milczeniu. Cisza była nie do zniesienia, ale nie miała zamiaru odzywać się pierwsza. Zresztą, co miałyby powiedzieć. Mijali dużo szarych bloków, w większości opuszczonych, o ile nie całkowicie zniszczonych. Obawiała się na niego spojrzeć, więc skupiała uwagę na swoich butach i na tym, by się nie potknąć, co zdarzało się jej dość często. Na drodze leżał kamień, idealny, by go ze sobą zabrać. Zwolniła, aby go podnieść, gdy niespodziewanie on go kopnął. Spojrzała na niego z wyrzutem, ale od razu się zmieszała, on nic nie powiedział, nawet nie spojrzał. Zaczęła żałować swojej decyzji. Zawiał wiatr, chociaż może nigdy nie przestał wiać. Szli w milczeniu, według niej całą wieczność, gdy na horyzoncie pojawiła się ławka. Nie była zmęczona, ale nie chciała też iść.

— Ja siadam — oznajmiła. Nie miał wyjścia, nie mógł iść bez niej. Usiadł obok. Zaczęła machać nogami, schowała ręce do kieszeni. Wyczuła swoje znalezisko, wyjęła.

— Skąd to masz? — spytał obojętnie, choć widziała zaskoczenie, którego nikt nie byłby w stanie ukryć.

— Znalazłam. Koło stawu.

— Wiesz, że kiedyś mieszkaly w nim kaczkі. Widziałaś kiedyś małą kaczkę?

— Nie widziałam. Żadnej właściwie nie widziałam.

— Ja też nie. — Znowu cisza, ale jednak się odezwał.

— Masz rozwiązane buty, wiesz? — zwróciła mu uwagę.

— Tak. — Zapiął kurtkę i poszli dalej. Może nie towarzyszyła im już niezręczna cisza, ale wciąż cisza. Znowu na drodze pojawił się kamień. Ostrożnie się schyliła, lecz tym razem go nie kopnął.

— Ten jest lepszy — powiedział.

Mocniej otuliła się płaszczem i poprawiła szalik, który zastaniał prawie całą jej twarz. On zaciągnął na głowę kaptur. Chroniła ich noc, lecz mimo wszystko, gdyby ktoś ich zobaczył, a na dodatek zatrzymał, nie skończyłoby się to dobrze. Na ich szczęście księżyc dzisiaj był schowany za chmurami. O tej porze nie wolno było wychodzić z domu, ta zasada panowała już od dawna. Nie pamiętała, kiedy ostatnio bez strachu wyszła na dwór. Za każdym razem czuła niepokój, który teraz był jeszcze bardziej nasilony. Spojrzała na niego i zaczęła mu się przyglądać. Czy zawsze był taki wysoki? Pewnie tak. Nie miała czasu zastanawiać się nad tym dłużej, bo stanęli przed bramą, która w czasach swojej świetności musiała stanowić dobre zabezpieczenie. Dzisiaj wystarczyło ją obejść, bowiem po ogrodzeniu nie było już śladu. Patrzyli na ogromny budynek, oczywiście szary. Brakowało w nim szyb oraz drzwi. Widok nie był przyjemny. Znowu na niego spojrzała, czekała, aż coś powie. To nie nastąpiło, a on nagle ruszył przed siebie. Zaczęła wspinać się za nim po rozwalających się schodach. Ciemność panująca w budynku sprawiła, że nic nie widziała, w pewnym momencie straciła równowagę.

— W porządku? — Nie widziała go.

— Tak.

— A twoje buty?

— Co? Co z nimi? — spytała zdezorientowana.

— No, czy twoje buty były zawiązane? — Mimo że go nie widziała, wyobraziła sobie jego dumny wyraz twarzy.

— To nie jest śmieszne, mogłam spaść — mruknęła, choć mimowolnie uśmiechnęła się. Napięcie między nimi jakby momentalnie zniknęło. Zaczęli rozmawiać zupełnie swobodnie, pamiętając jednak o tym, że mogą tu nie być sami. Świadomość, że byli tutaj w nocy, właściwie nielegalnie, sprawiła, że do uczucia niepokoju dołączyła ekscytacja. — Pamiętasz swój pierwszy dzień tutaj? — niespodziewanie zapytał. Oczywiście, że pamiętała. — Oczywiście, że pamiętam. Zresztą pewnie jak każdy. Wiem, że rano przebieierałam się z trzy razy i ostatecznie wybrałam...

— Czerwony sweter.

— Tak — zdziwiła się, że to wiedział. — Stałam sama pod salą i z nikim tego dnia nie rozmawiałam. Żałuję tego właściwie do dzisiaj. Już nigdy ich pewnie nie zobaczę, ani tym bardziej nie poznam.

— Nie możesz być taką pesymistką — odparł. — Może pewnego dnia, może nawet jutro, ktoś tu przyjdzie i posprząta, a ktoś inny wstawi okna.

— Nowe szklane domy?

— Tak, coś w tym rodzaju. Pomyśl, gdyby cały budynek był szklany. Wszyscy by nas widzieli. Albo lepiej — rozmarzył się — lustra weneckie, tak żebyśmy to tylko my mogli obserwować świat na zewnątrz. — Ona nie podzielała jego entuzjazmu.

— Nie wydaje mi się, żeby tak się stało.

— Ale zobacz. My dziś rozmawiamy, czyli nie miałas racji. — Próbował ją rozweselić, ale chyba na niewiele się zdało.

Zamilkli ponownie na dłuższą chwilę, którą co jakiś czas przerywało kapanie wody, która dostawała się do środka przez dziurawy dach. Mijali kolejne pomieszczenia, wszędzie porozrzucone były krzesła i stoły. Trudno było sobie wyobrazić, że kiedyś wyglądało to inaczej. Wiedziała, że nie powinni tu być, ale ciekawość brała górę. On zdjął kaptur i głęboko odetchnął.

— Co robisz? — przeraziła się. — Zakładaj za powrotem!

— Jakby ktoś nas złapał, to chyba i tak by to już nie miało znaczenia, nie sądzisz?

Miał rację, więc i ona postanowiła odwinąć szalik. Jej twarz owiało zimne powietrze. Było to przyjemne i dawno zapomniane uczucie, zarezerwowane tylko na wyjątkowe chwile, a ta dokładnie taka była. W tym momencie wszystko było odebrane od szarej rzeczywistości, przypominało jej to raczej sen. Miała wrażenie, jakby jej tu nie było albo jakby obserwowała całą tę scenę z boku. Wydawało jej się to nierealne, przechadzanie się tędy, jeszcze z nim. Poczuła nagłą tęsknotę za czymś, co zostało jej odebrane, zanim zdążyła to poznać i zdecydować, czy tego w ogóle chce. Przez cały ten czas tłumiła w sobie to uczucie, starając się to jakoś przetrwać. To, co zdarzyło się tak niespodziewanie, na co nikt nie miał wpływu. Coś w niej pękło.

— Mam już dosyć — oznajmiła.

— Mnie? — Tym razem to on się przestraszył.

— Nie, ale też. No wszystkiego. Ich. Tamtych. Tego — zaczęła wymieniać bezradnie.

— Czy naprawdę nikt nie wie, jak to cofnąć albo naprawić? — Zamilkła zdziwiona swoim wybuchem. Zawstydzila się, że wraz z odstonięciem szalika odstoniła też siebie.

— Nie mam pojęcia. Też jestem zły. Wyobraź sobie, ile sytuacji się przez to nie wydarzy albo ilu ludzi nie spotkasz. Ilu rzeczy nie powiesz, które może odmieniłyby całe twoje życie.

— Nie myślałam o tym tak abstrakcyjnie — zastanowiła się.

— To może taki scenariusz: nie spotkasz kogoś, kto zna kogoś, który rozmawiał z kimś, kto zajmuje się tym, co mogłoby sprawić, że zarobisz milion złotych.

— Może. — Nadal nie potrafiła się uśmiechnąć.

— Albo nie pójdziesz do jakiegoś miejsca, w którym zobaczyłabyś dokładnie tę rzecz. To by dopiero było. Albo gorzej. Byłaś już w tym miejscu i zobaczyłaś tę

rzecz, ale dopiero za drugim razem, którego nie było, zwróciłabyś na to uwagę.

— Albo na kogoś. — Podniosła wzrok.

— No. — Przestali się śmiać.

— O, zobacz! — Wskazał palcem w kierunku ściany. Podeszli bliżej. Gdy się przyjrzała, zobaczyła mnóstwo napisów. Z początku trudno było cokolwiek z tego odczytać.

— To są historie — powiedział, nie patrząc jej w oczy. — Te historie, które mogły, ale nigdy się nie wydarzą albo potoczyły się zupełnie inaczej.

— Nie rozumiem. — Nie widziała tego w ten sposób.

— Przypatrz się, albo raczej wczytaj. Na przykład ten: Mati już nie żyjesz ty...

— Dobra, nie kończ — ucięła.

— Tutaj ewidentnie ktoś miał plan wobec owego Matiego, ale bardzo możliwe, że go nie zrealizował, bo się już więcej nie spotkali. A może gdyby się spotkali, to zostaliby przyjaciółmi na wieczność? Kto wie? — Rozejrzał się i wskazał na przekreślony napis „Pola + Michał”: — Tutaj z kolei pomyśl, do jakich dramatów musiało dojść i które, jak widzimy, nie zostały naprawione. Może dziś Pola i Michał mieliby gromadkę dzieci? — Rozweselanie przyniosło odwrotny skutek.

— Świat się jakby zatrzymał, zamarzł. — Posmutniała, ale nagle zreflektowała się: — Cemu tutaj jesteśmy?

— Możemy iść gdzieś indziej.

— Nie. Cemu my. Dzisiaj. Skąd wiedziałeś, że będę tamtędy szła? Śledzisz mnie?

— Nie — powiedział spokojnie. — Nie dziś. — Spojrzała na niego z przestachem. — Po prostu chciałem za tobą iść, znaczy z tobą — zmieszał się — tego pierwszego dnia. — Widziała, jak się czerwieni. Nie wiedziała co powiedzieć.

— Czyli to nie był przypadek? — spytała w końcu.

— Zależy jak do tego podejść. Przecież mogłaś wyjść trochę wcześniej albo trochę później. Albo zmienić trasę. Albo ja bym zmienił zdanie... — zaczął wymieniać.

— Ktoś poznał kogoś, za drugim razem — powiedziała przyglądając się ścianie.

— Można tak powiedzieć.

— Czyli to trochę tak, jakbyśmy naprawili przeszłość.

— Albo przyszłość.

Zeszli po stromych schodach i wyszli z budynku. Możliwe, że byli tutaj po raz ostatni. Schowali ręce do kieszeni, ale nie założyli szalików ani kapturów. Żadne z nich nie chciało się znowu ukrywać. Rozdzielili się w miejscu, w którym się spotkali, nie mając pewności, czy cokolwiek się zmieniło. Chodnik, staw i bloki nadal pozostawały szare, podobnie jak cała reszta świata. Oczywiście poza znaleziskiem w jej kieszeni.

MARIA ZIELONKA — urodziła się w Olsztynie w 2000 roku. Absolwentka I Liceum Ogólnokształcącego im. Adama Mickiewicza w Olsztynie. Obecnie jest studentką kryminologii na Uniwersytecie Gdańskim.

ANNA RAU I IWONA BOLIŃSKA-WALENDZIK

Olsztyński łapacz snów

Oto sen. Prawdziwy, mocny i przejmujący, który rzeczywiście zaistniał w czyjejś głowie, a potem został nam opowiedziany. A my... interpretujemy – na dwa głosy. Zapraszamy do sennego świata, który rozciąga się nad naszym miastem.

SEN I.B.

To miasto mi się śniło, ale tego nie wiedziałam. Szłam jak zwykle ulicą 1 Maja i była wiosna, maj, bynajmniej nie Saska Kępa, choć chyba i tak pachniało bzem, jak nigdy koło Teatru Jaracza. Bo tam nie ma bzu, tylko pięciopalczaste kasztanowce oraz ginkgo biloba po drugiej stronie jezdni. Ale i tak szłam, ciesząc się tym, że nie wiem, iż śnieg, a za to czuję, jak obok mnie śmiga zielony tramwaj, a nade mną czarne jaskółki. Nagle spadła jedna! Druga! Trzecia! Czwarta! A ja poczułam, że nie wiem, co zrobić, gdyż cztery małe śmierci na moich oczach to już jakaś nieuchronna wola, w którą nie mogę godzić moją małą śmiertelną litością. Jaskółki leżały na torowisku jak małe czarne złożone parasolki. Potożyłam się obok nich, przykładając ucho do ziemi, i poczułam, że serce miasta bije i że pozwala mi oszukać przeznaczenie. Zebrałam więc cztery opierzone ciała i włożyłam pod bluzkę, a małe pazurki ufnie wczepiły się w moją skórę. I wtedy stało się coś doskonałego: nagle miałam pięć serc zamiast jednego! Cztery nowe biły bardzo szybko i z każdą sekundą oddawały mi coraz bardziej cały swój pęd, wolność i brak przywiązania do wszystkiego, co nie jest powietrzem i lotem. I podjęłam decyzję: nie potrzebuję piątego serca.

wg A.R.

Szłam. Zimna zima dookoła, śnieg i mróz, styczeń. Aura sprzyjająca zimnemu chowowi. Odwróciłam się i spojrzałam na tarczę zegara ratuszowego. Nie dowiedziałam się jednak która godzina, bo nagle z prędkością pocisków jedna po drugiej spadły u moich stóp jaskółki. Jedna, druga, trzecia, czwarta. Jak czterej jeźdźcy Apokalipsy, jak zapowiedź niezapowiedzianego.

Wbiły się w śnieg pokrywający olsztyński bruk. Szybko schyliłam się po nie. Na moment moja głowa zamarta nad torami tramwajowymi. W oddali zobaczyłam jego światła. Myśl szybsza niż upadek jaskółek przeleciała przez głowę. Może nie podnosić się. Może.

Może zamknąć tylko oczy.

Może.

Podniosłam się, pozbierałam jaskółki. Chciałam je ogrzać. Wszystkie, jedna po drugiej, trafiły za dekol. Czułam, jak się szamoczą między ciałem a ubraniem i powoli uspokajają. Wyciszają.

Wyrównują oddech z moim oddechem. Zabiorę je do domu, razem doczekamy wiosny. Tylko co zrobią koty...

wg I.B.-W.

PIOTR SZAUER

Pierwszy akord w Olsztynie

Od 2010 roku Kortowiadzie – czyli najbardziej znanym i największym juwenaliom w Polsce – towarzyszy konkurs młodych kapel KortoFest. Dla zespołów, które rozpoczynają swoją profesjonalną drogę na polskim rynku muzycznym, jest to znakomita okazja, by zaprezentować się przed większą publicznością, ale też trafić „do notesów” osób, które decydują o line-up’ach dużych polskich festiwali. Niemal od początku w konkursowym jury goszczą przedstawiciele Przystanku Woodstock (dziś Pol’and’Rock Festival). I odkryte w Kortowie zespoły zapraszają z koncertami na swoją imprezę. Zaistniały tam m.in. takie formacje jak The Toobes, Chorzy czy OHO!KOKO.

KortoFest od początku stawia na niezależność i oryginalność. Nieważne, jaki gatunek muzyczny prezentują swoją twórczością zespoły zapraszane co roku do finału konkursu. Liczy się ich potencjał, umiejętność zainteresowania występem trudnej juwenaliowej publiczności oraz jakość tego, co są w stanie zaprezentować na scenie. Sam występ na scenie na plaży kortowskiej jest już dla nich niezwykłym doświadczeniem. I właśnie dlatego rokrocznie do konkursu zgłasza się około 100 kapel z Polski. Nie brakuje też zespołów zagranicznych.

Laureatami głównej nagrody KortoFestu byli do tej pory:

- Orange The Juice (2010)
- Majestic (2011)
- The Toobes (2012)
- Straight Jack Cat (2013)
- TherMiT (2014)
- Blue Deep Shorts (2015)
- Whoiswho (2016)
- Chorzy (2017)
- OHO!KOKO (2018)
- HOOK (2019)

Nie wiadomo jeszcze, kiedy odbędzie się kolejna, jedenasta edycja KortoFestu. W 2020 roku Kortowiada przybrała formę online i była ograniczona jedynie do dwóch koncertów zarejestrowanych bez udziału publiczności. Było to oczywiście spowodowane pandemią wirusa SARS-CoV-2. Wszystko wskazuje na to, że w tym roku będzie podobnie...

PIOTR SZAUER (ur. 1985) – dziennikarz, prezenter radiowy, autor i wykonawca piosenek. Od 2014 roku redaktor naczelny Radia UWM FM. Współpracował także z Radiem GRA, Polskim Radiem Olsztyn oraz Programem Trzecim Polskiego Radia. Laureat m.in. I nagrody Ogólnopolskich Spotkań Zamkowych „Śpiewajmy Poezję” w Olsztynie oraz „Zajazdu Bardów”. Pomysłodawca i dyrektor artystyczny Festiwalu Piosenki Innej w Lubawie (2013–2018). W latach 2018–2020 dyrektor artystyczny KortoFestu.

EMILIA KONWERSKA

Debiut nie istnieje

Wszyscy się stresują. Stresują się uznani i „dorośli” artyści, stresują się pisarze na wieczorach autorskich, młodzi poeci na słamach. Stresują się muzycy i ich menagerowie. Bardzo dużo tych emocji obserwowałam i obserwuję podczas mojej pracy w Galerii Dobro. Ale przecież nie tylko. Widzę ten nerw także u siebie – po publikacji tekstu, podczas otwarcia wystawy. Każde nowe to myśl, którą próbujemy usprawiedliwić, obronić.

Każda twórczość (nowa piosenka, nowy obraz, nowy wiersz) to wyzwanie rzucone światu. Jestem pewna, że galeria sztuki może czuć niepokój i treść przed debiutem. Jeśli w jakiś sposób ściany i powietrze pomiędzy nimi mogą przeżywać emocje, to stres związany z tak zwanym późnym debiutem musiał towarzyszyć Galerii Dobro, która zmieniła w pewnym momencie nazwę, specyfikę, naturę, ideę. Miało być o debiutach. Debiutowała Agnieszka Dybowska, której prace można było w Galerii Dobro oglądać w styczniu 2018 roku, na samym początku. Znalazłam je na Instagramie, gdzie debiutowałam jako kuratorka. To właśnie tam pojawiają się miliony nowych prac, wierszy, miliardy zdjęć. Sieć to nieustanny strumień nowej sztuki. Tam (prawie) wszyscy jesteśmy najpierw. Internet pozwala nam pokazać się na naszych warunkach. To dzięki niemu możemy być artystami, zanim ktoś nas wydrukuje czy powiesi w galerii sztuki. Tam nadajemy naszej twórczości charakter, dbamy o spójność, sens. Portale społecznościowe, magazyny o sztuce (mniej) to miejsca, gdzie szukam młodych artystów. Ale przecież nie tylko ja! Wszyscy to robimy. Urządzamy sobie nasze światy sztuką, muzyką, literaturą, przekopujemy w tym celu Internet.

To dzięki sieci ten pierwszy raz poniekąd przestał istnieć, zmnożył się, zdemokratyzował. Pozbawił władzy kuratorów, dyrektorów, wydawców. Każdy pierwszy raz dalej wywołuje emocje, przyprawia o szybsze bicie serca, napawa ekscytacją i lękiem. Ale to do nas, do was należy pierwszy ruch. A potem może przydarzyć się druk książki, publiczne czytanie, performans, koncert, wystawa w galerii sztuki, wystawa w Galerii Dobro.

EMILIA KONWERSKA – doktor literaturoznawstwa, absolwentka filozofii. Publicystka, krytyczka literacka i filmowa. Współpracuje z „Krytyką Polityczną”. Kuratorka Galerii Dobro.

ALEKSANDER KUBERSKI PIERWSZY RZUT

Debiut, z francuskiego *début*, oznacza *pierwszy rzut*. W sztuce jako debiut uznać można oficjalną prezentację pierwszego dzieła, zestawu dzieł, autora lub zespołu autorów. W teatrze czy na estradzie debiut oznacza pierwszy występ na scenie. W tradycji angielskiej debiut jest rozpoczęciem życia publicznego, oficjalnym wprowadzeniem do towarzystwa. Słynnym tego przykładem mogą być kulturowane od poł. XVIII wieku w londyńskim sezonie towarzyskim Bale Debiutantek, zakorzenione w świadomości elit jako swoiste Targi Małżeńskie. Młode szlachcianki w wieku 17-18 lat były oficjalnie prezentowane monarsze na dworze królewskim i nerwowo rozglądały się za kandydatami na mężów. Wracając jednak do naszych realiów, debiutem publicznym, na który społeczność liceum plastycznego w Olsztynie czekała prawie 30 lat, było otwarcie salonu wystawowego. W czerwcu 2019 roku powstała profesjonalna przestrzeń do prezentacji osiągnięć uczniów, absolwentów, nauczycieli, zaproszonych gości. Interesujący projekt budynku wykonała Pracownia Architektoniczna Gadomscy z Olsztyna. Szczęśliwie obchody Jubileuszu XXX lecia powstania szkoły zbiegły się z finalizowaniem budowy tego obiektu. Było dużo zaproszonych gości, absolwentów z wielu roczników i dziesięciu zaproszonych bohaterów, bynajmniej nie debiutantów w swoich dziedzinach. W uznaniu ich dokonań twórczych zaproponowaliśmy wybranym absolwentom zaszczytną rolę otwarcia Salonu Wystawowego. Reprezentują oni różne dziedziny działalności artystycznej i zawodowej. Ich wspólną cechą jest twórczość na wysokim poziomie. Chcieliśmy ich udziałem w wystawie pokazać róż-

drogi twórcze naszych absolwentów, pochwalić się ich dokonaniami, wykonując symboliczny, pewny *pierwszy rzut* w przestrzeń debiutującego salonu. Nasi artyści, choć młodzi, są już twórcami o ustalonej renomie w środowisku artystycznym. Mają na koncie wiele prestiżowych nagród, wyróżnień i znaczących realizacji. Zaszczycili nas swoimi pracami:

Anna Drońska – malarka, eksperymentatorka tworząca w szerokim spektrum działań ekologiczno- społecznych, wykładowczyni Instytutu Sztuk Pięknych UWM w Olsztynie;

Cyryl Kotwicki – architekt współpracujący z ikonami światowej architektury współczesnej, ma na swoim koncie już ponad 200 000 m² powierzchni użytkowej zaprojektowanej pod swoim nazwiskiem;

Tomasz Radzewicz – wszechstronny artysta, rzeźbiarz mający w dorobku ważne prestiżowe realizacje pomnikowe, rzeźby abstrakcyjne, projektuje postaci do branży filmowej i gier światowych marek;

Adam Smoczyński – artysta multimedialny zajmujący się filmem, fotografią eksperymentalną, multimedialnymi formami przestrzennymi. Tworzy obrazy w oparciu o własne techniki plastyczne;

Adam Cieślak – rzeźbiarz i nauczyciel w naszym liceum, zajmuje się sztuką figuratywną i koncepcyjną. W swoich pracach łączy środki wyrazu charakterystyczne dla rzeźby, malarstwa oraz rysunku;

Bartosz Świątecki – malarz, tworzy głównie malarstwo abstrakcyjne. Zajmuje

się również działaniami street artowymi, szczególnie muralami abstrakcyjnymi. Jest także nauczycielem w naszej szkole;

Piotr Nowak – ceramik zajmujący się rzeźbą, instalacją, video, projektowaniem. Reprezentujący Norwegię jako członek Międzynarodowej Akademii Ceramiki (IAC). Mieszka i pracuje w Oslo;

Grzegorz Gwiazda – rzeźbiarz i adiunkt IEA APS w Warszawie. Uważany za jednego z najbardziej utalentowanych absolwentów warszawskiej ASP w ciągu ostatnich lat. Jego prace znajdują się między innymi w stałych zbiorach Muzeum Współczesnej Sztuki Europejskiej (MEAM) w Barcelonie;

Tomasz Poznysz – malarz i konserwator malarstwa, ukończył z wyróżnieniem Wydział Konserwacji i Restauracji Dziel Sztuki na warszawskiej ASP. Kształtuje swój osobisty styl, łączy dawną ikonografię z nowoczesną wrażliwością, malarstwo figuratywne z wizualnymi żartami, renesansowe i barokowe techniki malarskie z popkulturą;

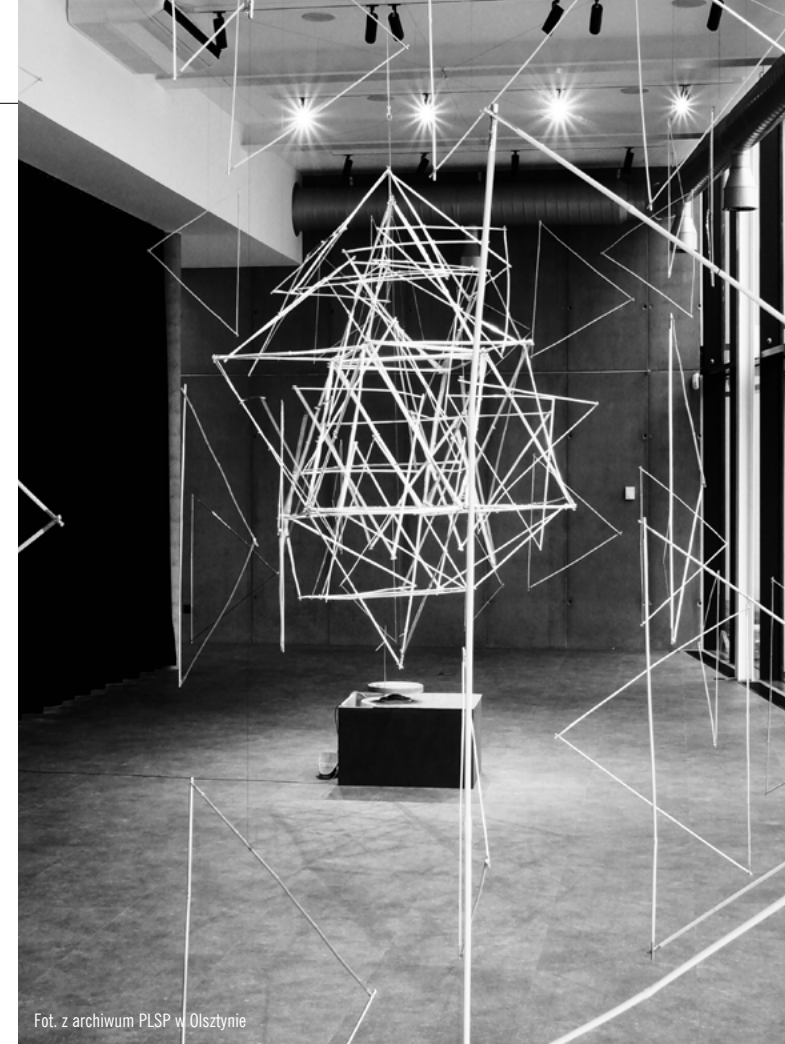
Mateusz Koziaradzki – najmłodszy w tej grupie jest kuratorem Centrum Sztuki Współczesnej w Toruniu. Autor tekstów krytycznych i naukowych oraz licznych wystaw, których był kuratorem. Interesują go działania o charakterze parateatralnym i performatywnym.

Pierwsza wystawa w naszym salonie była przy okazji jubileuszu szeroką promocją szkoły i przykładem kariery artystyczno-zawodowej dla naszych uczniów.

Po debiucie Salonu Wystawowego przyszedł czas debiutu najmłodszego rocznika naszych absolwentów. Wystawa prac dyplomowych ceramików, aranżatorów wnętrz i projektantów graficznych, dla których uzupełnieniem wystawowym były dodatkowo ich aneksy z malarstwa, rysunku i rzeźby. Było to wydarzeniem października 2019 roku. Doczekaliśmy się wreszcie profesjonalnych warunków do takich prezentacji. Chwilę później szkoła i jej salon gościli profesjonalnego partnera ze świata filmu. Tutaj odbywały się spotkania z ludźmi filmu oraz wykłady na tematy związane z produkcją telewizyjną i filmową w ramach międzynarodowego festiwalu filmowego w Olsztynie – WAMA. A to wszystko dzięki współpracy szkoły z organizatorem festiwalu – świetnym, znanym montażystą filmowym pochodzącym z Ławy Panem Marcinem „Kotem” Bastkowskim.

Dla wyciszenia emocji na przełomie roku 2019/2020 powstała kontemplacyjna instalacja autorstwa nauczyciela rzeźby Ewalda Kornka i jego uczniów pt. *Kałuża*. Ta forma zbudowana z 3500 płytek CD rozlała się po całym salonie. Mieliśmy również przyjemność zaprosić nasze świeżo upieczone absolwentki Weronikę Preker i Angelikę Tamkun. Namówione przez szefa galerii Bartosza Świąteckiego przywoziły ze sobą rysunki, malarstwo, rzeźbę, które wykonały, będąc obecnie studentkami ASP we Wrocławiu i Gdańsku. To ciepłe spotkanie zdolnych studentek z naszymi uczniami pokazało młodszemu kolejny krok w drodze do twórczego zawodu.

W tej przestrzeni odbywa się poza tym niezliczona liczba spotkań, egzaminów, rad pedagogicznych, małych wystaw, nawet w czasie pandemii ze względu na dużą przestrzeń i świetne wyposażenie audiowizualne. W salonie odbył się także wykład nauczycielki historii sztuki Pani Krystyny Magrel na temat *Meble w PRL-u* i wystawa rzeźb z masyldu wykonanych przez uczniów Pana Ewalda Kornka w technice na tracony wosk, jako część projektu grantowego „Wena” finansowanego przez Fundację Rodziny Staraków. Gościliśmy również pełnego wigoru malarskiego Pana Wojciecha Szymańskiego, który zaprezentował swoje



Fot. z archiwum PLSP w Olsztynie

abstrakcyjne, wielkie kompozycje i rysunki. Prezentowały się bardzo efektownie przez duże przeszklenia salonu, podkreślając przy okazji wyjątkowość tego miejsca. W czasie lockdownu byliśmy jedyną olsztyńską galerią prezentującą sztukę. Dodatkowo warto zaznaczyć, że 24 godziny na dobę.

W marcu 2021 roku pokazujemy w salonie instalację Pana Ewalda Kornka i jego uczniów pt. *Ku jedności*. Całą przestrzeń galerii wypełniają figury 140 połyskujących dużych trójkątów, które po dwóch tygodniach, w sposób chyba magiczny, dążą ku sobie, tworząc powoli kulę, na oczach ludzi wędrujących wzdłuż salonu przy ulicy Lanca. Kula obraca się majestatycznie, przyciągając kolejne trójkąty. Wygląda to (moja interpretacja), jakby rozproszeni pandemią COVID uczniowie, powoli przyciągani mocą tkwiącą w olsztyńskiej szkole plastycznej, zaczęli na powrót tworzyć bogatą jedność.

Podsumowując te półtora roku działalności szkolnej galerii, widzę duży wzrost naszego potencjału. Warunki do profesjonalnych prezentacji i spotkań z szeroko pojętą kulturą wzbogacą naszą działalność edukacyjną. Z definicji nasz salon wystawowy nastawiony jest przede wszystkim na młodego twórcę, który wchodzi w życie artystyczne. Daje szansę na udany debiut. Estetyczne i wielofunkcyjne wnętrza stają się od razu wielkim atutem, pomagającym zaistnieć młodemu człowiekowi. Cieszymy się (choć dopiero od niedawna), że ten przysłówowiowy pierwszy rzut w świat sztuki ma godną oprawę. A może ta szkolna galeria powinna się nazywać DEBIUT?



Fot. z archiwum PLSP w Olsztynie

MARTA WIŚNIEWSKA

O Warmii i Mazurach głos z zewnątrz

Beata Szady, *Warmia i Mazury. Wieczny początek* [recenzja]

W sondażu przeprowadzonym przez Instytut Badania Rynku i Opinii Społecznej Imas International w 2011 roku co czwarty respondent-internauta na pytanie, z czym kojarzy mu się Warmia, odpowiedział, że z Mazurami. Była to jedna z trzech najczęściej udzielanych odpowiedzi. Przywołuje to na stronach swojego reportażu Beata Szady, rozpoczynając tym samym ostatnią część książki – dotyczącą tego, co najnowsze, obecne, trwające. Tym samym wskazuje, że o Warmii i Mazurach wciąż trzeba czytać i dyskutować, uświadamiać i edukować. Po prostu nieustannie je poznawać, penetrować i analizować. Pomimo że tropami Smętka Melchior Wańkowicz podążał jeszcze przed II wojną światową, powstało wiele artykułów publicystycznych, reportaży i opracowań naukowych, wielowymiarową działalność prowadzi Wspólnota Kulturowa „Borussia”, a „ostatni Mazur” Erwin Kruk był senatorem pierwszej kadencji. Mówiło się o Warmii i Mazurach, i mówi, ale czy za mało? Czy w zbyt elitarnym gronie? A może to temat zbyt trudny, by rozprawić się z nim za pomocą jednej publikacji czy naukowej konferencji?

Beata Szady, dziennikarka i wykładowczyni akademicka, autorka książki reporterskiej *Ulica mnie woła. Życiorys z Limy* zabrała się za pisanie *Wiecznego początku* o Warmii i Mazurach, nie wiedząc o tym regionie prawie nic. Uznała, że wakacyjna wizyta w warmińskich Kikitchach i zasłyszana historia Orzółka rozpałał w niej ciekawość na tyle skutecznie, by powstała interesująca reporterska opowieść. Stała się przed arcytrudnym zadaniem, ponieważ zagmatwane losy byłych Prus Wschodnich trudno jest zrozumieć samym mieszkańcom oraz naukowcom badającym ten region, a co dopiero reporterce z zewnątrz. Reporterskiego przedsięwzięcia nie ułatwił fakt, że autorka postawiła sobie cel narysowania stułetniej panoramy regionu, poczynawszy od plebiscytu w 1920 roku, a skończywszy na 2020 – roku wydania książki. Poprzeczka zawisła bardzo wysoko, gdyż na przestrzeni wieku Warmia i Mazury przekazywane były z rąk do rąk, a z każdym nowym gospodarzem historia tego regionu stawała się coraz bardziej tragiczna i skomplikowana.

Tylko jeden z dwunastu rozdziałów Beata Szady napisała z odtworzenia – *Plebiscyt*. Sromotną, choć niemogącą dziwić, porażkę ruchu polskiego w głosowaniu za opowiedzeniem się za Polską lub przeciw temu ze względów naturalnych opisała tylko na podstawie źródeł pisanych. Tym samym powtórzyła doskonale znane historie o skutkach silnej germanizacji oraz ludziach znajdujących się „po polskiej stronie” – zdecydowanej mniejszości. W ten sposób zmarnowała się szansa na odświeżenie zagadnienia, ukazywanego z jednej i tej samej strony przy okazji kolejnych rocznic. Następny rozdział, którego potencjał wydaje się nie w pełni

wykorzystany, to ostatni – zatytułowany *Postscriptum. Warmia i Mazury*. Szkoda, że spojrzenie na warmińsko-mazurską tożsamość oczami trzeciego i czwartego pokolenia mieszkańców tych ziem to właśnie tylko dopisek. Autochtoni czy ofiary radzieckiej ofensywy 1945 roku są bez wątpienia niezwykle istotni, ale tymi, którzy obecnie kształtują warmińsko-mazurską społeczność, są dzieci i wnuki przesiedleńców z akcji „Wisła” czy Herberta Monkowskiego. Reporterka piszącą książkę w XXI wieku powinna być ciekawa, jak odpowiedzą na pytanie „Kim jesteś?”. I choć zadaje je Bartoszewi Myślakowi oraz piosenkarce Natalii Nykiel, to temat wciąż wydaje się niewyczerpany. Być może do poznawania historii wciąż pcha reporterów podświadome (lub świadome) przeświadczenie, że już za chwilę z bohaterami wydarzeń nieco dawniejszych nie będzie można porozmawiać z tych samych powodów, z których reportaż o plebiscycie trzeba było napisać wyłącznie na podstawie dokumentów i rozmów z historykami. Tak czy inaczej, brakuje w książce *Warmia i Mazury. Wieczny początek* spojrzenia na region przez pryzmat współczesności. Gdyby Szady zdecydowała się sprawdzić, czy na tzw. Ziemiach Odzyskanych obecne jest Baumanowskie rozumienie tożsamości, mogłoby się okazać, że Warmia i Mazury uwolniły się od klątwy wiecznego początku, popadając w inną – równie destrukcyjną kulturowo i społecznie. Jednak to tylko hipoteza autorki niniejszej recenzji, postawiona na podstawie znajomości innych tekstów reporterskich i publikacji socjologicznych.

Reasumując, książkę Beatę Szady można uznać za swoiste okno na świat, a w tym przypadku konkretnie na Warmię i Mazury. Bez znaczenia, czy przez to okno będzie chciał wyrzeć turysta planujący wakacje w Giżycku, przyszły właściciel posiadłości nad jeziorem Czos czy ekspresownik korporacji, który nowe życie postanowił rozpocząć właśnie tutaj. *Wieczny początek. Warmia i Mazury* dostarcza podstawowej wiedzy historycznej i socjologicznej oraz – co najważniejsze – inspirować. Koniec końców autorce należy się uznanie za odwagę podjęcia się opisanego miejsca, gdzie płyty nagrobne na starych cmentarzach zapisane są szwabachą, a do wspólnej rozmowy przy stole można bez większego wysiłku skrzyknąć Ukrainca, Warmiaka, Mazura, Niemca i osadnika z Mazowsza.

MARTA WIŚNIEWSKA (ur. 1992 r.) – absolwentka dziennikarstwa i komunikacji społecznej na Uniwersytecie Warmińsko-Mazurskim w Olsztynie. Píše doktorat o Warmii i Mazurach w reportażu. Jej największą pasją jest kolarstwo, o którym pisze w portalu Naszoscie.pl. Poza tym lubi podróżować po Europie i uczyć się języków.

WŁODZIMIERZ NOWAK

Szkoła opowieści, czyli osiem dowodów na reportaż

Reportaż to sztuka szczegółu, bo szczegół zbliża, wiąże autora i tekst z czytelnikiem – mówiła nam niedawno Małgorzata Szejnert na kolejnych zajęciach Studium Reportażu. Czytaliśmy z nią *Próbę Galatei*, reportaż z lat 70., w którym opisała słynną Pantomimę Olsztyńską Bohdana Głuszcza. To już druga edycja Studium, a Szejnert od początku zgodziła się objąć patronat nad warsztatami.

Studium jako przyteatralną szkołę opowieści wymyślił reżyser Zbigniew Brzoza, zapraszając mnie do współpracy, kiedy został dyrektorem olsztyńskiego teatru. Roczne warsztaty mają uczyć opowiadania i pomóc zauważyć to, co nieopowiedziane. Mają też lepiej osadzić teatr w kontekście społecznym, sprawach regionu, historiach jego mieszkańców.

Zaczęło się trzy lata temu właśnie od Małgorzaty Szejnert. Czytaliśmy wtedy na scenie Jaracza jej głośny reportaż *Wies jak ziarenko*, opowiadający historię Hejdy Macoch, młodej Mazurki z Wejsun. Szejnert na wejsuński temat trafiła przed laty akurat w olsztyńskim teatrze, który wystawiał dzienniki Hejdy.

Takich mistrzowskich lekcji reportażu mieliśmy w Studium już wiele. Cezary Łazarewicz pokazywał, jak, sięgając po temat, o którym wszyscy wszystko wiedzą, napisać coś zupełnie nowego. To częste doświadczenie reportera, także tu na Warmii i Mazurach.

Czytaliśmy *Był sobie chłopiec* Ewy Winnickiej, a ona radziła, jak pracować z emocjami. Jak wyczyścić tekst z emocji autora, a wywołać je u czytelnika. – *Dobry temat jest jak wielki port, a reportaż jak podróż w nieznanne* – uczyła Katarzyna Surmiak-Domańska. (Czytaliśmy w Jaraczu jej *Mokradelko*). Gościliśmy też Filipa Springera, Wojciecha Tochmana, Jacka Hugo-Badera, Pawła Piotra Reszkę, Renatę Radłowską, Marcina Kąckiego, Adama Wajraka i Martę Abramowicz. Ich reportaże czytali na scenie aktorzy Teatru Jaracza.

Czy reportaż można napisać w pandemii? Z jednej strony uczymy się przecież, że reportaż to zbliżenie – gatunek wymagający szczególnej pracy z bohaterem, twarzą w twarz, pełen szczegółów z jego życia, osobistych rozmów, poznania intymnego świata bohatera. To trudne zadanie w czasie zarazy. Ale z drugiej strony, pandemia zatrzymała nas wszystkich, każe przyglądać się rzeczom z bliska i zauważać opowieści, które mamy pod ręką, a których zwykle nie widzimy. Dookoła jest ich przecież mnóstwo – rodzinnych, sąsiedzkich, środowiskowych. Więc można. Po pierwszym roku Studium mamy osiem dowodów na to, że w czasie zarazy reportaż jest możliwy. Osiem książeczek, osiem reportaży zebranych w tekturowe pudełko – świetny projekt Macieja Buszewicza, profesora warszawskiej ASP.

Martyna Siudak pojechała śladem Szejnert do Wejsun, szukając obrońców miejscowego kościoła. Joanna Kiewisz-Wojciechowska opisała fotel, w którym matka 24 lata

czekała na zaginioną córkę. Potem matka i reporterka stały na brzegu Jeziora Dywickiego, gdy nurkowie wyłowili wielką, czarną torbę. Dwoje niewidomych pokazało Agnieszce Porowskiej swój prawdziwy Olsztyn. Izabela Stadniczeńko chodziła po Gutkowie, odkrywając tożsamość tego miejsca i swoją. Wioleta Wróbel pytała w Królikowie, dlaczego ludzie stawiają domy na terenie dawnego stalagu. Beata Szady kazała rozmawiać o życiu dwóm starym Warmiakom, chociaż naprawdę nigdy się nie spotkali. Karol Fryta słuchał spraw, jakie mamy do Matki Boskiej Gietrzwałdzkiej, a Katarzyna Guzewicz ratowała psy „trójjapki” przed bezdomnością.

A tegoroczną edycję Studium zaczęliśmy od *Na tropach Smętka* i sądu nad Wańkowiczem z udziałem Roberta Traby i Joanny Szydłowskiej. *Smętek* to lektura obowiązkowa dla wszystkich, którzy biorą się za Warmię i Mazury, ale nie polecam wyszukiwania w Wańkowiczu tematu na reportaż. *Smętek* ma być jedynie dobrze poznanym gruntem, fundamentem, a tematów szukajmy tu i teraz.

Studium Reportażu to projekt wieloletni, nabór ogłaszamy jesienią, a warsztaty są bezpłatne. Cieszę się, że na tych łamach mogę dotrzeć do wszystkich bibliotek, Dyskusyjnych Klubów Książki, do czytelników dobrej literatury i reportażu. Zależy nam na współpracy z całym regionem.

Na koniec informacja, która pewnie Państwa ucieszy. Zaprośiliśmy do Studium reporterki Magdalenę Grzebałkowską i Annę Goc z „Tygodnika Powszechnego”. Obie kończą właśnie ważne książki i jak tylko Jaracz otworzy sceny, proponujemy Państwu wspólne czytania i rozmowy z autorkami.

Kontakt: wlodzimierz.nowak@teatr.olsztyn.pl



MATEUSZ ŚWIĄTECKI (MIEJSKI OŚRODEK KULTURY W OLSZTYNIE) FEST MUZA, czyli o poławianiu pereł

Wejść na estradę i zostać, cała reszta to rzecz prosta – zgoła bezwstydnie sugerował przed laty Janusz Kofta. Choć wielu, zapewne zbyt wielu, wzięło sobie głęboko do serca tę makiaweliczną receptę na sukces, to jednak powodzenie w branży muzycznej rzadko kiedy bywa aż tak proste. Bez solidnego i wszechstronnego wsparcia wielu młodych, uzdolnionych artystów nigdy nie zyskuje szansy na rozwój swoich talentów.

Sukces na scenie to pojęcie dość abstrakcyjne. O artystycznym „być albo nie być” młodych twórców niejednokrotnie przesądzają kapryśne i przypadkowe imponderabilia, niemające wiele wspólnego z obiektywną oceną uprawianej sztuki. Ograniczenia w dostępie do sprzętu i sal prób, internetowy jazgot dławiący samodzielne próby zaistnienia czy wreszcie wulgarny brak środków niezbędnych do opłacenia studia lub rozerwania działań marketingowych. Wszystko to rzuca rynkowe kłody pod nogi kolejnych młodych i zdolnych, choć niestety pechowych. Kultura nie tak powinna wyglądać i nie od tego powinna zależeć.

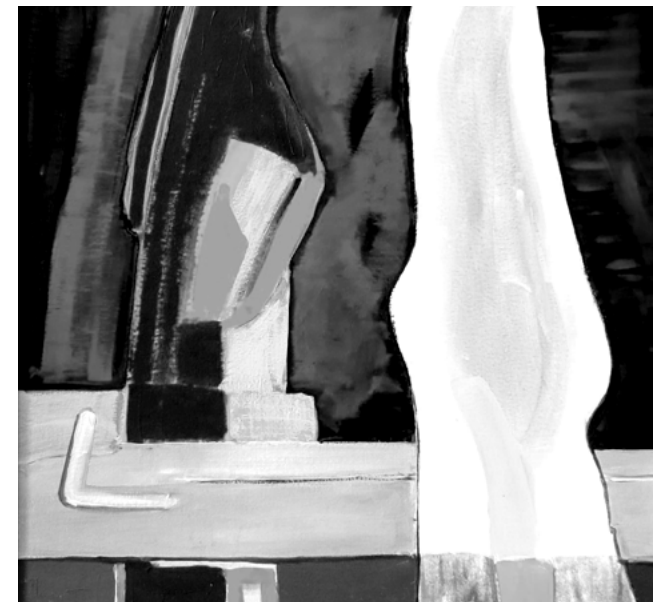
Polska małych miasteczek jest pełna talentów. Niestety przez niesprawiedliwe zrządzenia losu wielu wspaniałych artystów na zawsze przepada w oceanie ciszy i niebytu. Dlatego jednym z głównych zadań nowoczesnych instytucji kultury jest wyławianie młodych, zdolnych twórców i pomaganie im. Nieco patetyczny zapis w statucie Miejskiego Ośrodka Kultury w Olsztynie mówiący o wspieraniu i promocji twórczości artystycznej, ze szczególnym uwzględnieniem otaczania opieką amatorskiego ruchu artystycznego, nie jest biurokratycznie martwą literą. Wartościowa kultura nie może być jedynie efemeryczną funkcją prawideł rynkowych. W końcu jeśli my nie pomożemy młodym twórcom – kto zrobi to za nas w świecie komercji i mód?

Ogólnopolski Konkurs Młodych Zespołów FEST MUZA, organizowany rokrocznie przez olsztyński MOK, to doskonały przykład działania z zakresu skutecznego poławiania pereł.

Otwiera on przestrzeń do samorealizacji i zaistnienia w branży muzycznej zespołom już zdolnym, a jeszcze nieznanym. Przykłady ich twórczości muzycznej, szybko i wygodnie nadsyłane na Konkurs za pośrednictwem strony internetowej, są skrupulatnie oceniane przez kompetentne jury. Co roku do udziału w FEST MUZIE zgłasza się kilkadziesiąt (nawet do stu) kapel marzących o zwycięstwie! A nie da się ukryć, że jest o co walczyć. Kolejne edycje Konkursu zyskują autentycznie szerokie wsparcie z zewnątrz, dzięki czemu możliwe jest fundowanie potężnych nagród finansowych i rzeczowych. Nawet w pandemicznie trudnym roku 2020, kiedy w momencie ogłaszania naboru FEST MUZA była bodaj jedyną nieodwołaną tego rodzaju inicjatywą w Polsce, łączna pula nagród znacznie przekroczyła 10 tys. zł! Laureaci eliminacji konkursowych zyskują możliwość zaprezentowania swej twórczości na żywo na deskach olsztyńskiego Amfiteatru im. Czesława Niemena. Wielki finał FEST MUZY odbywa się zwyczajowo w sierpniu, a dla podniesienia rangi tego przedsięwzięcia każdorazowo towarzyszy mu występ gwiazdy wieczoru. Nagrody, które zdobywają laureaci FEST MUZY, faktycznie ułatwiają im start w branży muzycznej i dają realną szansę na wypromowanie swojej twórczości. Bynajmniej nie chodzi wyłącznie o nagrody finansowe, choć i te są pokaźne – zwycięzca edycji z 2020 r. zdobył nagrodę w wysokości aż 5 tys. zł! Nagradzane zespoły zdobywają również wysokogatunkowy sprzęt muzyczny, zyskują możliwość bezpłatnej sesji nagraniowej w profesjonalnym studiu czy otrzymują szansę występu na prestiżowych i popularnych festiwalach.

Choć brzmi to może nieco pompatycznie, ułatwienie startu młodym twórcom to po prostu moralny obowiązek instytucji działających na rzecz kształtowania kulturowego krajobrazu. To właśnie ci nieodkryci, a przecież utalentowani, mogą w przyszłości stać się dostarcicielami przeżyć niedostępnych w żaden inny sposób. W tym kontekście wspieranie młodych artystów to nie punktowe działanie doraźne, lecz długoterminowa inwestycja w jakość przyszłego życia kulturalnego naszego kraju. Nie można rezygnować z tego potencjału.

Podobno pamięć o przeciętnym człowieku trwa około 100 lat. Nie każdy może być Marią Skłodowską-Curie czy nawet Billem Gatesem, większość z nas musi liczyć się z tym, że pamięć o nas z czasem zaginie zupełnie. Stąd w ludziach potrzeba pozostawienia czegoś po sobie: potomka, dzieła sztuki czy majątku. Niektórzy tę potrzebę wypierają, a pomaga w tym właśnie tytułowa *Teoria opanowywania tworgi*. Zakłada ona, że wszyscy doświadczamy nieuchronnego strachu przed śmiercią. Abyśmy mogli w miarę normalnie funkcjonować, mamy mechanizm pozwalający tę trwogę opanowywać, w przeciwnym razie strach paraliżowałby nas w stopniu uniemożliwiającym zwykłe życie. Wszyscy, którym na przykład zaszewkowało serce lub jakaś inna część ciała, doskonale znają to uczucie: ogarniający strach i poczucie, że oto nadchodzi nieuchronne. Ma to też swoje dobre strony, ja na przykład tak przekonałam się, że warto przestać palić papierosy, czy poświęcać sobie więcej uwagi, bo serce niepokojąco mi dudniło. Jeśli zaś chodzi o samego Tomasza Organka, to powszechnie znany i chyba utalentowany muzyk. „Chyba” nie piszę ironicznie, ale dlatego, że nie czuję się kompetentna, żeby oceniać ludzi zajmujących się muzyką. Opisując jego debiutancką książkę, włączyłam kilka nagrań z nim, bo wcześniej nie miałam ku temu okazji. Chłopak, a raczej mężczyzna, bo Tomasz Organek ma 45 lat, jest miły i skromny. Pochodzi z Raczek (koło Suwałk), jest absolwentem anglistyki w Toruniu i Akademii Muzycznej w Katowicach. Sam zaznacza, że debiut to nie jego ostatnie słowo, bo literaturą zajmował się już wcześniej i nawet znalazł się w antologii prozy. I bardzo dobrze, że nie ostatnie, bo mi



Between, Wiosenne spotkanie, Ewa Osińska-Rozpędek

KATARZYNA GUZEWICZ Lęki czterdziestolatków

książka się podobają. Była dość przygnębiająca, choć nic strasznego się tam nie dzieje (no dobra, prawie nic). Dowcipna, ale raczej „na smutno”, bez kabaretowego rżenia. Bohaterowie to zwykli ludzie pełni żalu, poczucia beznadziei, zblazowani. Czy życie nie składa się z banałów? Trochę mało jest w nich radości, ale z drugiej strony, czy to nie bardzo realistyczne? Zmęczenie życiem i codziennością, niechęć do obcowania z innymi ludźmi (mistrzowsko opisana scena usiłowania small talku w redakcyjnej kuchni). Próżno tam szukać pocieszenia, prawdy o świecie, recepty na szczęście. I bardzo dobrze, bo taka bywa najczęściej egzystencja: nijaka, z przeblaskami szczęścia. Podróż pary głównych bohaterów też nie zmienia ich postrzegania świata. A przy tym jest barwna, ironiczna, słodko-gorzka. Podczas tej podróży natrafiamy na rewelacyjnie opisane zależności funkcjonujące w Polsce prowincjonalnej, gdzie rządzą lokalni gangsterzy i robią wesele córki, kiedy chcą, nawet w Zadzuszki. Dość przejmująca jest wizyta głównej bohaterki w barze w rodzinnej miejscowości. Ciekawie pokazany stosunek tych, którzy zostali, do niej, która wyjechała za „lepszym życiem” do miasta. I wreszcie, kto jest bardziej nieszczęśliwy: ona w Warszawie czy oni tam? *Leżałem gdzieś między tupiącymi, zalany masą z lastryko. Leżałem i się marnowałem. Gniłem i malałem. Miałem trzydzieści dziewięć lat i czułem obojętność. Miałem trzydzieści dziewięć lat i chciałem czuć piękno. Nic mnie nie gnało, nic mnie nie ciągnęło, nic nie zaprzętało i nic nie podnosiło.*

Tomasz Organek, *Teoria opanowywania tworgi*

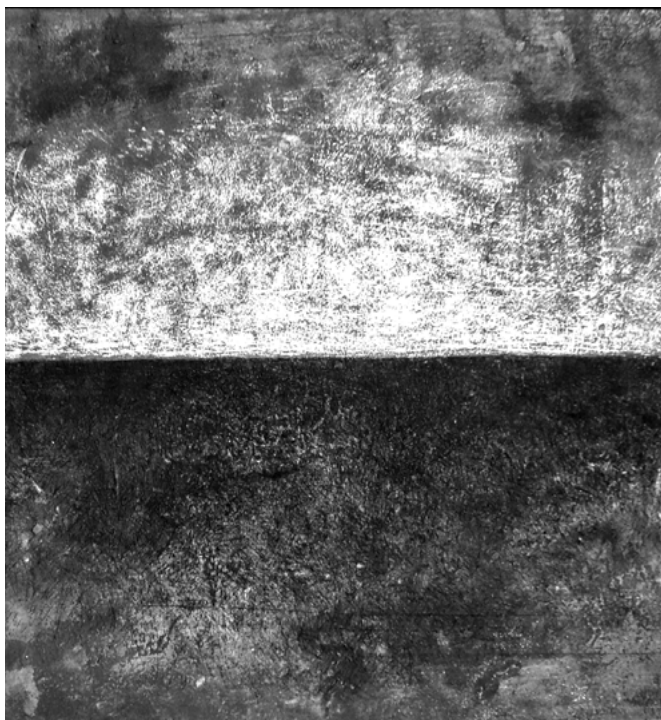


EWA SCHILLING

Misja Kamikadze

Kamikadze. Jednoosobowe wydawnictwo. Z niezwykle wycuciem założone pół roku przed pandemią. Kamikadze to nie mój pomysł, taką ocenę usłyszałam. Aha, był jeszcze Don Kichot. Nie poczuwam się do bycia ani jednym, ani drugim. A tekst nie ma traktować o reakcjach znajomych.

Dobrze. Jak to jest w takim wydawnictwie? Przychodzi tyle propozycji, że robi się z nich długa kolejka. Cóż. Podobno w Polsce wydaje się około trzydziestu tysięcy książek rocznie. A ile trafia do wydawnictw, choć nigdy nie doczeka się druku? Ani wydania na e-booku? Nic dziwnego, że i do Sequi sporo trafia. Czytam i wybieram to, co mi się podoba. Mniejsza o rekomendacje, o to, czy ktoś już coś opublikował, czy debiutuje. Jeśli jest wtórne, nudne, przewidywalne albo jest w tym jakaś myśl, tylko kompletnie utopiona pod nieudolnością formy, odmawiam.



Szara flaga (tryptyk), Paweł Kiepiński

I tak trzeba zrobić redakcję i korektę. Bywa, że niewielką, ale zawsze. Najtaniej byłoby, gdybym robiła to sama, podobnie grafikę i skład, ale nie daję rady. Dobra korekta nie polega tylko na wstawianiu przecinków i pilnowaniu odmiany wyrazów. Dobra korekta wychodzi poza ramki ściśle gramatycznych poprawek; to także zwracanie uwagi na stylistykę i sens. (I na to, szczerze mówiąc, co pominęła redakcja).

Okładkę można zrobić ze zdjęcia obrobionego w programie GIMP. Można. Jednak takie akcje są dobre przy self-publishingu. (Przy nim także polecam redakcję i korektę. Choć kiedy się ją zleca, efekty bywają mizerne. Kiedy wydałam tom opowiadań, do którego wybrałam z autorem trzy teksty z pierwszego zbiorku, opublikowanego właśnie tą metodą, okazało się, że i redakcję, i korektę trzeba zrobić po raz drugi). W związku z tym trzeba znaleźć takie osoby, które z czystej sympatii robią to wszystko niedrogo i jeszcze są gotowe poczeć na honorarium. Jeszcze tylko tania drukarnia, która da przyzwoity termin płatności. Chociaż można przetestować bezsensowne, moim zdaniem, uprzedzenia i wydać e-booka. To jest naprawdę tak samo cenna zawartość i chociaż sama mam sentyment do papieru, e-booków nie uważam za gorsze warianty książek drukowanych.

I jeszcze tylko załatwić patronaty i blurby. Powysyłać propozycje do ilu się da blogerek i blogerów. Wcześniej oczywiście podpisać umowy z dystrybutorami, którzy wezmą sobie te marne 65%. Nieźle byłoby mieć pieniądze na promocję albo dokładać z czegoś. W każdym razie, jeśli Sequoia będzie wydawała czyjąś książkę, to gwarantuję rozmowy o tekście, omawianie propozycji grafiki, ustalanie planu promocji; wszystko, czego nie spotkacie w dużym wydawnictwie.

EWA SCHILLING (ur. 1971 w Olsztynie) ukończyła studia na Wydziale Ochrony Środowiska. Debiutowała zbiorem opowiadań *Lustro* (Infopress 1998). Następnie wydała powieści *Akacja* (Borussia 2001) i *Głupiec* (ha!art 2005) oraz kolejny zbiór opowiadań *Codziennosc* (ha!art 2010). Współpracowała między innymi z czasopismami „Borussia”, „Portret” i „Pogranicza”. W roku 2015 *Głupiec* ukazał się w tłumaczeniu na język słoweński. Cztery lata później założyła wydawnictwo SEQOJA (www.seqojawydawnictwo.pl).

WIESŁAWA NIEMASZEK-SZYMAŃSKA

O wiecznym debiucie i zasłuchanej ciszy aktorki

Moją pierwszą publicznością były panie w przedszkolu. Nie lubiłam leżakować i śpiewałam paniom piosenki. W nagrodę mogłam buszować wśród zabawek i miałam odpuszczone obowiązkowe spanie. Do śpiewania zachęcała mnie oczywiście mama, dlatego się nie bałam. Mój pierwszy i zawsze najważniejszy widz. Zawsze, odkąd pamiętam, bardzo dużo mi czytała. Najpierw bajki, baśnie i różne ciekawe opowieści wprowadzały mnie w zaczarowany świat, potem pojawiła się poezja od J. Brzechwy, J. Tuwima przez K.I. Gałczyńskiego i wszystkich obowiązkowych klasyków. Był też *Kubuś Puchatek* i *Mały Książę*. Czytałyśmy z mamą najpierw razem, a potem, jak odkrywałam sama coś dla mnie nowego, czytałam jej na głos, zanurzając się coraz bardziej w świat literackich odkryć. Mama miała zawsze czas, żeby mnie wysłuchać. To ta publiczność, która słyszy i słucha bezwarunkowo, z pełną wiarą i zachętą do dalszego działania. Pewnie dlatego, gdy w piątej klasie szkoły podstawowej Pani polonistka, Irena Bekier, poprosiła mnie, żebym przeczytała *Kronikę olsztyńską* Gałczyńskiego na głos przy całej klasie, zrobiłam to bez lęku, z pełnym zaangażowaniem. Wtedy pierwszy raz usłyszałam tę ciszę. Była to CISZA, KTÓRA SŁUCHAŁA. Bardzo uwodzicielska cisza, za którą, gdy raz poczujesz, zaczynasz tęsknić, chcesz, żeby pojawiła się po raz kolejny. Tak z wiary we mnie mojej mamy i pani od polskiego zakiełkowałam chęć do dalszych działań i debiutów. Miejscem szczególnie okazał się Bartoszycki Dom Kultury, gdzie odbywały się różne zajęcia i konkursy. Zawiadywała nim Pani Janina Jocek, która bardzo dbała o to, żeby nasze pasje i zainteresowania miały możliwość realizacji. Ileż tam było debiutów, niekoniecznie zawsze uwieczzonych sukcesem, ale nawet porażki nie były powodem, żeby przestać tęsknić za tą ZASŁUCHANĄ CISZĄ, która raz na jakiś czas się pojawiała. Usłyszałam ją, kiedy zadebiutowałam, śpiewając w konkursie recytatorskim poezję A. Achmatowej do muzyki Wiesława Miksa w Lidzbarskim Domu Kultury. Pierwszy raz w życiu udzielałam wtedy wywiadu do olsztyńskiego radia Pani Eli Lenkiewicz i jej mężowi Konradowi. A z jury pamiętam A. Fabisiaka i St. Brzozowskiego, którzy bardzo pozytywnie mnie ocenili, czyli znowu ktoś we mnie uwierzył. Na jakiś czas jednak, gdy byłam na studiach pedagogicznych, uśpiła się we mnie tęsknota za MOJĄ CISZĄ i wyraźnie czegoś brakowało, było pusto. Zrezygnowałam ze studiów i prosto z wiosennego spaceru poszłam pod „mały belwederek”, gdzie mieścił się Olsztyński Teatr Lalek „Czerwony Kapturek”

i zapytałam dyrektora J. Wroniszewskiego o możliwość angażu. Zaryzykował, uwierzył i tak 1 kwietnia 1981 roku rozpoczęłam pracę w teatrze. Zaczęły się debiuty na serio, bo dzieci to bardzo wymagający i bezkompromisowy widz. Pierwsze przedstawienie *Baśń o carze Emilianie* z lalkami typu jawałka było ogromnym przeżyciem nie tylko ze względu na rodzaj wykonywanej pracy, ale też bezinteresowną pomoc ze strony kolegów aktorów. Każda premiera w tym teatrze była debiutem, bo przecież pierwszy raz spotykałam się a to z nowym rodzajem lalki, a to z nowym tytułem i za każdym razem z nową publicznością. Pierwsze publiczne wystąpienie, czyli debiut, my aktorzy przeżywamy średnio parę razy w roku. Niezależnie od tego, czy to jest teatr lalek, czy teatr dramatyczny, są to zmagania od duszy po materię. W „Czerwonym Kapturku” największy problem miałam z zmechanizowaną kukłą kozy. Może dlatego, że na początku nie traktowałam jej zbyt poważnie, to się zemściła. Nie chciała mnie słuchać. Dopiero jak długo z nią popracowałam, szczerze porozmawiałam i ją polubiłam, zaczęłyśmy współpracować. Przedstawienia *O Kasi, co gąski zgubiła*, *Betlejem polskie* L. Rydla w reżyserii E. Dobraczyńskiego, *O Młynarczyku* i *Małej Królownej*, *Krzesiwo* i inne debiuty otwierały kolejne drzwi. Jeśli zdecyduję się zostać w teatrze, to będę odkrywała arkana sztuki aktorskiej i może uda się odnaleźć tę SŁUCHAJĄCĄ CISZĘ jeszcze parę razy. Powiększało się grono inwestujących we mnie swoją wiarę i powiększających jednocześnie moją pasję. W Teatrze im. J. Kochanowskiego w Radomiu dyrektor Z. Wojdan też uwierzył, że teatr to moje miejsce. Uczył, obsadzał, prowadził niemalże za rękę. Kochał aktorów i zawsze umiał dodać ducha. Jeszcze jako adepta teatru brałam udział w spektaklach *Nagi Król* Szwarca, *Gałązka rozmarynu* Nowakowskiego i innych, a najważniejsza była rola Zosi w *Weselu* St. Wyspiańskiego. Znowu zetknięcie z nową materią tekstu, z nowymi reżyserami, z nowymi partnerami na scenie i codziennie z nową publicznością. Debiuty? Egzamin na aktora dramatu był bardzo wymagającym debiutem, bo przed wielkimi tego świata: R. Hanin, J. Świdorski, B. Fijewska, M. Komorowska, K. Chamiec, Z. Tobiasz i jeszcze około 20 osób pozwolili mi go zdać, uwierzyli we mnie, dając mi pełnoprawny dyplom aktorki dramatu. Pierwszą rolę, którą zagrałam u dyrektora Z. Wojdana po zdaniu dyplomu, i zarazem pierwszym debiutem zawodowym, była rola Księżnej w *Szewcach* Witkacego. Myślę, że za małe jeszcze miałam doświadczenie, żeby zagrać ją dobrze i zasłużyć

na moją wyczekiwaną SŁUCHAJĄCĄ CISZĘ po drugiej stronie rampy, ale zaczęłam już nieco odważniej po nią iść. Tak doszłam do Teatru im. St. Jaracza w Olsztynie w roku 1992. Bardzo chciałam wrócić do Olsztyna, do korzeni, do miejsca, gdzie czułam, że bezpiecznie mogę podążać za marzeniami, a wokół będą ludzie, którzy uwierzą, że w moim przypadku ma to sens. Przyjął mnie do tego teatru ówczesny dyrektor M.Z. Hass. Debiutowałam na scenie Teatru St. Jaracza spektaklem *Piosenki francuskie* w reżyserii R. Szejda. Na widowni, oprócz anonimowego widza, siedzieli moi bliscy: babcia i mama oraz ci, którzy byli świadkami moich początków: E. Lenkiewicz, A. Fabisiak, St. Brzozowski. Wtedy znowu odnalazłam tę swoją wytęsknioną SŁUCHAJĄCĄ CISZĘ. Wróciłam do domu. W pierwszym sezonie pracy zagrałam w czterech premierach. Oprócz *Piosenek francuskich: Zejście aktora* reż. J. Kozłowski, *Żołnierz Królowej Madagaskaru* reż. G. Chrapkiewicz i niezapomniana współpraca z K. Rościszewskim przy realizacji *Putapki* T. Różewicza. *Putapka* była spektaklem WIELKIM pod każdym względem. Reżyseria K. Rościszewskiego, muzyka J. Satanowskiego, scenografia A. Markowicza i ogromny wysiłek i zaangażowanie całego zespołu aktorskiego, wszystko to razem pokazało, czym jest współbrzmienie, harmonia, które doprowadzają do magii zespalającej widza z aktorem, do tej ZASŁUCHANEJ CISZY. Radość, nazywana satysfakcją z wykonywanego zawodu, jest bezcenna. Miałam też możliwość zadebiutować jako asystent reżysera. Spotkanie



Duo-tres, Ewa Osińska-Rozpędek

z Adamem Hanuszkiewiczem przy trzech jego realizacjach, grając w nich jednocześnie, bardzo wiele mnie nauczyło. *Dulska* G. Zapolskiej, *Wesele* St. Wyspiańskiego, *Kordian* J. Słowackiego pozwoliły mi patrzeć na niezwykle barwnego i niekonwencjonalnego człowieka teatru. A. Hanuszkiewicz całym sobą kochał teatr, a widownia miała z tego ogromny pożytek. Grałam w jego sztukach, asystowałam i słuchałam bardzo ciekawych opowieści. Staralam się przenieść zdobytą wiedzę i doświadczenie na swój debiut reżyserski, pracując przy realizacji spektaklu *Niech żyje bal*. Ogromne przedsięwzięcie muzyczne, w którym zadebiutowałam też, tworząc scenariusz. Z moim przyjacielem, Arturem Dobrzańskim, oraz z roztańczonym i rozśpiewanym zespołem aktorskim zrobiliśmy spektakl dający radość olsztyńskiej widowni. Dziękuję, koledzy, że mi uwierzyliście.

Myślę, że ważnym debiutem było podjęcie pracy w naszym Studium Aktorskim im. A. Sewruka jako wykładowca przedmiotu piosenka aktorska. Byłam ze słuchaczami 20 lat. Robiłam spektakle dyplomowe, małe formy muzyczno-śpiewane na egzaminy. Z różnymi efektami. Czasami mnie lubili, czasami wręcz przeciwnie. Uczyłam ich przez te 20 lat i do dziś zostało mi z tego czasu wielu przyjaciół. Może niektórych z nich nauczyłam wiary w siebie i poszukiwania ZASŁUCHANEJ CISZY?

Bardzo ważnym debiutem, który zaowocował długoletnią współpracą, było uczestniczenie w działalności „Teatru przy stoliku” powstałego z inicjatywy Eli Lenkiewicz, która dzięki swojej ogromnej wiedzy wyszukiwała nam w literaturze teksty dramatyczne. Czytaliśmy je potem z pełną interpretacją aktorską przy stoliku i zaświeconych lampkach w całym regionie warmińsko-mazurskim. Piękna inicjatywa docierająca do bibliotek, domów kultury i innych ośrodków kulturalnych, do widza często niemającego możliwości przyjechania do teatru w Olsztynie. Ten widz bardzo często nagradzał nas tą ZASŁUCHANĄ CISZĄ.

Na koniec powiem o swoim ZASŁUCHANIU i debiucie, który był jednym z najważniejszych. To zetknięcie z postacią rzeczywistą, prawdziwą i moim zdaniem największą pieśniarką dwudziestego wieku. Mały, szary wróbelek. Kiedy jako dziecko zobaczyłam film o Edith Piaf, zostałam zaczarowana. Nie znałam przecież języka francuskiego, a wiedziałam, że to, co śpiewa, jest ważne i prawdziwe. Śpiewała całą sobą. Zostało to we mnie na całe lata. I miałam to szczęście, żeby zmierzyć się z repertuarem i trudnym życiem Edith w spektaklu *Edith i Marlene*. Takich debiutów, takich premier się nie zapomina. Wszyscy ludzie, z którymi byłam dalej czy bliżej związana, moi bliscy, przyjaciele, znajomi i nieznajomi, a przede wszystkim widz, nagrodzili mi to wielokrotnie swoją ZASŁUCHANĄ CISZĄ, wspólnym oddechem i statuetką za kreację roku 2001 za rolę Edith Piaf. Parę razy w życiu aktor może być szczęśliwy, nawet jeżeli zaangażował się do teatru w prima aprilis 1 kwietnia 1981 roku. Szkoda tylko, że nastał taki czas, że po drugiej stronie rampy CISZA KRZYCZY, bo nie ma możliwości się zastuchać.

MARTA MARKOWICZ

0 debiucie podwójnym

Debiutować. Dumnie to brzmi, prawda? Wyjść na scenę ten pierwszy raz. Doczekać dnia, kiedy wreszcie po latach nauki, przygotowań, ciężkiej pracy i życia marzeniami staje się na oświetlonej scenie naprzeciw wypełnionej po brzegi widowni. Wstrzymuję oddech i czuję, jak podnoszą mi się barki i spinają mięśnie brzucha. Czuję lęk, strach, stres, jednocześnie uparcie trzymam się myśli, że „dam radę” i czekam na trzeci dzwonek, który pozwoli spożytkować adrenalinę. Rzecz w tym, że to bardziej moje wyobrażenie niż wspomnienie tej jedynej chwili. Albo jeszcze inaczej – pamięć po pierwszym, ale i każdym kolejnym i wcześniejszym razie. Teoretycznie debiut to pierwsze wystąpienie, a ja czuję, że tego, co można nazwać „pierwszym”, jest wiele. W głowie wyświetla mi się film: pierwsza klasa podstawówki, jestem Kopciuszkiem, tańczę z przyjacielem – księciem – walca; liceum, CEiIK, w tle dzwoni telefon, recytuję fragment *Szklanego klosza* Sylvi Plath i myślę, że wszystko rozumiem. Szybka zmiana: „A może zatańczy pani big-beat?”, „Proszę powiedzieć Monolog Kasandry”, „Umie pani śpiewać?”. Kolejne sesje egzaminacyjne, wreszcie stajemy rokiem na dużej scenie w *Intermediach staropolskich*, w *Mistrzu i Małgorzacie*, gramy biletowane dyplomy na Scenie u Sewruka. Pamiętam zawstydzenie podczas ukłonów, próby bycia niewidzialną i wzrok wbity w ziemię. Mam przed oczami chwilę, w której otrzymujemy dyplom: leczę na nas płatki kwiatów, we włosach lądują strzępki notatek z wiedzy o teatrze, w oczach łzy, oficjalnie jesteśmy aktorami. W konsekwencji Pierwsze Razy następują więc raz po raz. Te teatralne: debiut w Nowym Teatrze w Słupsku i to w farsie, z zespołem, którego nie znam; pierwszy *Magnificat* w Warszawie z Chórem Kobiet i pierwszy spektakl we Francji na pierwszym z wielu międzynarodowych festiwalu teatralnych; w końcu pierwszy raz po szkole, po latach, w Olsztynie – w *Sztukmistrzu z Lublina*, w którym pierwszy raz „zongluję” i pierwszy raz śpiewam. Były też pierwsze kroki w nieznanym mieście z pierwszym razem przed mikrofonem w zaskakujących warunkach – bez widowni, w ciszy, intymnie, w towarzystwie pani reżyser, realizatora dźwięku i monitora z wyświetlaną animacją.

A potem pierwsze timecody, kłapy, postsynchrony, claimy, „tejki”, animatiki; pierwszy serial „ludzki”, pierwsza fabuła, pierwsza gra komputerowa, audiobook czy pierwsze gwary, czyli nagrania grupowe. Zdarte gardło, szepty i krzyki, podania rąk; dziesiątki drzwi, setki nowych twarzy, tysiące przeczytanych stron, hektolitry wypitej wody.

I to jedno, niezmiennie – oczekiwanie. Na kolejne trzęsienie ziemi, na kolejny pierwszy raz.

KAROLINA LEWANDOWSKA

Coś kręcę?...

Zaokrąglam kanty rzeczywistości, by nie kłuta?

Formuję z niej kulkę łatwą do przełknięcia. Nie czuję smaku, mówię, że dobra...

Popijam płynem z dużą zawartością cukru, barwionym E120 w kolorze życia = miłości.

Z błyszczących nici pajęczyn próbuję dziergać swetry na zimowe dni...

Ściągam tłuste, mleczne kozuchy, robiąc solidne zapasy

w tkankach bioder i ust, by kusić szczęście.

Magazynuję marzenia, rozmieniam je na drobne,

bogactwo worków ciężkiego bilonu rozsypuję i gubię,

jak Grześ, co szedł przez wieś...tylko słysząc cichy brzdęk

i jeszcze cichszy jęk.

„Niedebiuty” twórczości nieujawnionej zalegają na wszystkich powierzchniach płaskich przestrzeni mieszkaniowej, klasycznie: w szufladach i pod łóżkiem, na parapetach, półkach, szafkach, w komódkach i w mniej oczywistych miejscach: na pralce, lodówce i ścianach oraz w zapomnianych folderach na dysku twardym komputera, w chmurach i na milionach gwizdków USB z danymi. Żywcem pogrzebane przez twórców pod różnymi loginami, zablokowane milionami hasel: „jesteśzastaby”, „nienadajesz się”, „apud”, „gowno123”, „lepszaJestŚasiadka”, nie pozwolą się nigdy odnaleźć...

Pochowane przed wzrokiem osądzającego społeczeństwa, zabite w zarodku niezrealizowane sny i marzenia nie dają twórcom spokojnie spać w domach. Na twarzach niespełnionych autorów tworzą się doły i pęknięcia, znaki tęsknoty za objawieniem się światu w formie nieśmiałych rześkich powiewów, delikatnych przebłysków lub w pełnym blasku sławy. Kto się odważy wyjść poza strefę komfortu? Kto wybierze się w podróż w nieznane? Zapuka do drzwi wydawcy, wyśle niezamówione materiały do radia, telewizji, galerii, skonstruuje interesujące portfolio i opublikuje np. w Internecie?

Ile niezrealizowanych pomystów i dzieł ginie dziennie w standardowych gospodarstwach domowych na terenie województwa warmińsko-mazurskiego? Ile pogrzebano w skali całego kraju? Ile uśmierca się każdego dnia na całym świecie? Z powodu rutyny dnia powszedniego, obowiązków, pracy na etacie od 7:15 do 15:15 (najskuteczniej bez przerw i posiłku), z przyczyn rodzinnych, zdrowotnych, kryzysów finansowych, gospodarczych, międzynarodowych, z braku środków na inwestycję zakupu biletu do krainy marzeń, w której znajdzie się odbiorca, który zrozumie komunikat... Czujesz to, co ja? Emocje są OK. Ja jestem OK i Ty jesteś OK!

D

E

AKT I

Scena pierwsza
na scenę wkracza Autor.

k

u

u